



MYŚL POLSKA

TYGODNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO W ZAKRESIE
POLITYCZNYM, SPOŁECZNYM, NAUKOWYM, LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Cena ogłoszeń: 20 kop. za wiersz petitowy lub jego miejsce w zwykłej szpalcie. Zmiana adresu 20 kop.	WARUNKI PRENUMERATY:		W ŁODZI ceny warszaw- skie. Wyłączna sprzedaż w kantorze I. Sutorow- skiego, Piotrkowska 8.
	W WARSZAWIE:	Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:	
	rocznie rb. 8.—	rocznie rb. 9.—	
	półrocznie " 4.—	półrocznie " 5.—	
	kwartalnie " 2.—	kwartalnie " 2.50	
	Odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie.		
			ZBIORU Nr. 56.

Adres Redakcyi i Administracyi: Włodzimierska 6. telefon 65.71.

Cena numeru 20 kop.

TREŚĆ NUMERU:

Trzeciego maja.

Ludwik Włodek: Opinia Rosyi i autonomia.

J. K. Kochanowski: Przyczynki do dziejów rozwoju
pojęć moralnych na tle zabytków języka pol-
skiego.

Zygmunt Miłkowski: Sprawa pokojowa.

Tadeusz Konczyński: Wyspa Smutku. (Opowieść fan-
tastyczna). (dokoń.).

J. A. Kisielewski: O Balladynie.

Z tygodnia.

Uwagi.

Varia.

TRZECIEGO MAJA.

Twardą jest dola narodu, zrzucającego
z siebie pęta niewoli. Twardem i nieubłaga-
nem to mozolne zrywanie więzów, zadzierzgnię-
tych wśród nawałnicy dziejowej, a grożących
co chwila unicestwieniem najistotniejszych
ośrodków bytu zbiorowego.

Poszczególną jednostkę do lepszego ży-
cia wyzwolić zdola nieraz jedna wielka ofia-
ra, jedno potężne skupienie władz duchowych,
jedno silne, a świadomą wolą przeniknięte,
wstrząśnięcie kajdanów. Narodów, uległych
w walce, nie powraca do życia jeden wysiłek,
nie wskrzeszają najwięksi mocarze ducha, jeśli
wraz z nimi nie staje do boju długi szereg
pokoleń bezimiennych, miliony szarych ryce-
rzy, rzucających na szalę losów jedyne siły,
jakie w nich tkwią: ukochanie wspólnego ce-
lu, wspólną a mocną wolę, wspólny, niczem
nie zachwiany hart życiowy.

W tym boju ciągłym, toczącym się o lepszą
przyszłość kraju ojczystego, boju tak zawzię-
tym, iż nigdy w nim niema chwili na ogląda-

nie się poza siebie, nawet na pokłon prochom
tych, co padli, — jedyne momentami zbioro-
wego skupienia duchowego, momentami
wytechnienia narodowego stają się wielkie
rocznice dziejowe. One jedynie na chwilę za-
trzymać są zdolne szeregi naprzód idące, pozwa-
lają nam spojrzeć poza siebie, rzucić okiem
na przebytą przestrzeń, a zarazem po przez
mgłę przyszłości odsłaniają przed narodem wiel-
ki cel, ku któremu dąży.

Rocznice takich, promiennych czy smut-
nych, mamy wiele. Lecz ponad wszystkie wy-
rasta dzień, który dzisiaj Polska święci, bo
on największy, najbliższy temu, co w nas
żyje: dzień Odrodzenia. Więc gdy wreszcie
daną nam jest możność głośniejszego obja-
wiania ukrywanych przez lat dziesiątki uczuć,
rocznica Konstytucyi 3 Maja nabiera blasku
największego, najogólniejszego, a zarazem
najbardziej radosnego święta narodowego.

W dobie ubiegłej czciliśmy dzień ten
w szczupłych gronach najbliżej ze sobą zwią-
zanych przyjaciół — współkolegów, czciliśmy
go z głębi dusz naszych i z całą miłością sy-
nów, dumnych z przekazanego przez przeszłość
narodową testamentu, lecz był to jeno dzień
rozpamiętywania, dzień westchnienia ku mi-
nionej wielkości. Nie był to nastrój radosny,
a raczej dzień pełen smutku za złotą marą za-
ginioną.

Inaczej odtąd być musi. Rocznicą 3 Ma-
ja, mimo przeszkód, jakie się jeszcze piętrzą
na drodze do godnego jej uczczenia, mimo
bolesnej rozterki, jaką wokoło siebie w naro-
dzie jeszcze widzimy, mimo hańbiącego piętna,
jakie na kraju naszym aż nadto widocznie
ubiegłe lata pozostawiły, — zatacza coraz
szersze kręgi, staje się coraz bardziej tym dniem
radosnego wytechnienia, który każdemu naro-

dowi, nawet wśród walk najgorętszych, do dalszej pracy jest niezbędny.

Chwila zwycięstwa daleka jest jeszcze od nas, lecz otwarło się wieko trumny, która na zawsze od życia oderwać nas miała. Są w narodzie jeszcze siły ciemne i duchy obłąkańcze, które nam drogę ku słońcu zasłaniają. Są barykady, trudne do zdobycia, są przeszkody, o które niejedna jeszcze pierś rozbije się bez zwycięstwa. Lecz pochod trwa i nie złamie szyku żadna wroga potęga.

Więc wolno nam witać majową rocznicę tak, jak się wita wiosnę i wesele. A gdy jeszcze naród czynem stwierdza, że nawet wśród radosnego upojenia pamięta o swych obowiązkach względem braci całej, gdy i w takiej chwili objawia swe niezmiennie dążenia do coraz lepszych form istnienia, do światła i braterstwa, — zaprawdę zapomnieć się godzi, choć na dzień ten jeden, o wszystkim, co nas boli, co nas dzieli, co nas ku ziemi chyli.

OPINIA ROSYI O AUTONOMII.

Przeciwko wniesionemu projektowi autonomii Królestwa opinia rosyjska wypowiedziała się wrogo. Nie mówimy tu o organach nieprzejednanych „prawdziwych“ Rosyan; wypowiedziały się wrogo sfery urzędowe przez usta organu ich *Rossija*, zaprotestował najlepszy barometr popularności lub niepopularności danej idei—*Nowoje Wremia*, wreszcie sprzeciwił się i organ liberalizmu rosyjskiego—*Riccz*. Jeżeli zanotujemy wyjątki: narodowców z *Rusi* i socjalistów, a więc wrogów państwowości rosyjskiej w zasadzie, z *Towariszcza*, to tembardziej uzewnętrznili się słusność zdania o sprzeciwie w stosunku do autonomii całej opinii rosyjskiej.

Motywy sprzeciwu są różne: „kadeci“ półgłęboko przebąkują o niewłaściwie wybranej chwili wniesienia projektu i niemożności przyjęcia go w jego obecnym kształcie; inne pisma mówią wyraźniej o zuchwałym zamachu Polaków na całość państwa i zaznaczają dumnie, że czas rozczłonkowania Rosyi jeszcze nie nadszedł. Kto zna projekt autonomii, a zna ją go wszyscy Polacy, ten wie, ile w tym zarzucie jest przesady olbrzymiej, może świadomej, a może i nieświadomej, powodowanej fałszywie pojętą rosyjską racją stanu.

Nie przemijające względy chwilowej taktyki politycznej dyktują takie stanowisko Rosyan; przeciwnie, te przemijające względy dyktowały przed dwoma laty kadetom umieszczenie w programie swoim autonomii polskiej, pojętej znacznie szerzej. Przyczyn zjawiska szukać należy gdzieindziej i głębiej.

Znajdziemy je w nienawiści wiekowej Rosyan do Polaków, zaostrej przez przeszłe stulecie ucisku narodowego, nienawiści, która jest kłutwą złego czynu, która wybucha historycznie w każdej chwili, kiedy naród polski

w zmieniony przez warunki sposób upomina się o prawa do samodzielności dalszego rozwoju. Możemy powiedzieć z dumą o sobie, że my tej nienawiści, w tym stopniu, jak Rosjanie do nas, dziś nie żywimy. Ton głosów prasy rosyjskiej jest poprostu niesłychany; w ostatnich czasach niepodobnaby wskazać czegoś podobnego w prasie polskiej. Wyrzucają nam, że nic nie zapomnieliśmy i niczegoś się nie nauczyli; tymczasem zapomnieliśmy naszej nienawiści a nauczyliśmy się walczyć systematycznie o nasze prawa; zarzut ten w całej pełni Rosyanom zwrócić należy. Tak przemawiają nie ludzie silni, ale ludzie nienawidzący głęboko, a walka z tem zakorzenionem uczuciem będzie bodaj najtrudniejsza.

Rosya nie zna i nie rozumie uczuć narodowych, patryotyzmu. W społeczeństwie rosyjskiem tkwi głęboko zakorzenione poczucie przynależności państwowej, mylnie utożsamiane niekiedy z patryotyzmem, z uczuciami narodowemi, które są dopiero w stanie zaczątkowym wśród tych ludzi, którzy grupują się koło *Rusi*. Ci właśnie narodowcy powitali projekt autonomii przychylnie, ponieważ rozumieją naturalne dążenie narodu do samodzielności. Inni—uznali projekt polski za zamach na całość swego fetysza—państwa, którego nie mogą zrozumieć w innym kształcie, nie centralistycznym.

Przeciwstawność dwóch kultur, pierwiastków wschodnich i zachodnich, tłumaczy niezrozumienie wzajemne i inne pojęcie państwowości, inne pojęcie demokracji w obu społeczeństwach. Państwo w rozumieniu Rosyan jest obejmującym wszystko, wtrącającem się we wszystkie dziedziny życia, zabijającem wszelką indywidualność zarówno jednostek, jak grup społecznych i narodów, jest nieustannym opiekunem obywatela od kolebki do grobu, lekarstwem na wszelkie choroby społeczne, nawet te, które jego przerost sprowadza, niby cudowna włócznia Achillesa. Te same czynniki znajdujemy w rosyjskim pojęciu demokracji, polegającym na niwelowaniu wszystkich i wszystkiego w imię jednej Władzy Najwyższej o pierwiastku boskim, niegdyś absolutnej, dziś pozornie konstytucyjnej. Pojęcie łacińskie atrybucji państwa i cech demokratyzmu jest wręcz sprzeczne, oparte na silniejszym akcentowaniu pierwiastku wolności, niż pierwiastku równości, na zasadzie samodzielnego rozwoju jednostek i grup społecznych. Z tej przeciwstawności płynęły zawsze zarzuty braku demokratyzmu u Polaków, które i w obecnej dyskusji wypłyną niebawem; w niej również bierze swoje źródło żywiołowy niejako wybuch protestu przeciw autonomii Królestwa.

Polacy byli zawsze i pozostali do dziś dnia skłonni do złudzeń. Opinia nasza tworzyła się w atmosferze zjazdów polsko-rosyjskich, karmiła się pięknymi frazesami mów i artykułów dziennikarskich. Dziś, przy pierwszym zetknięciu z rzeczywistością, frazesy braterskie prysły, jak bańka mydlana. Poza względami zasadniczymi dobrze się stało, że projekt autonomii został wniesiony: jest to sonda, która zmierzyła przepaść, dzielącą nas od Rosyi.

Ochłodzono nadzieje, których nigdy nie podzielał. I dlatego nie widzimy dziś powodu załamania rąk z rozpacz. Zadanie społeczeństwa polskiego, zarówno w osobach posłów, jak prasy, instytucji i t. d., widzimy

przedewszystkiem w przekonaniu opinii rosyjskiej, że autonomia Królestwa jest jedyną formą zgodnego współżycia obu narodów, że nie jest zamachem na całość państwa i że dla dalekowiedzącego polityka jest równie konieczna i pożyteczna dla Rosyi, jak i dla Polski. Droga to długa i zmuśna—nie przeczymy. Nie powinna być mącona wybuchami nienawiści, tak łatwego następstwa utraty złudzeń. Posiew wiatru i zbieranie burzy pozostać winno tylko po stronie tych, którzy powstałi przeciw słusznym żądaniom naszego narodu.

Ludwik Włodek.

PRZYCZYNNY DO DZIEJÓW ROZWOJU POJĘĆ MORALNYCH NA TLE ZABYTEKÓW JĘZYKA POLSKIEGO.

Przystępujemy z pewną obawą do niniejszego szkicu, i to z obawą podwójną: dyletanta w zakresie kwestyi, jakie tu poruszyć pragniemy, oraz spostrzegacza, odczuwającego niewymierność, zachodzącą pomiędzy głębią i złożonością samego zadania a szczupłością danych źródłowych, mogących nam posłużyć do osiągnięcia zamierzonego celu.

Napis, położony tutaj na czele, to może tytuł zbyt szumny w stosunku do ilości, a nadewszystko do—jakości źródeł, którymi rozporządzamy na dany temat. Szumny, ale i jedynie właściwy zarazem—ze względu na istotę tego zjawiska, o jakie nam chodzi... Opierając się bowiem na zasadzie ciągłego postępu i różniczkowania się w ciągu wieków rozwoju pojęć, wyjść musimy z założenia, że pojęcia te—od prostych, mało złożonych a wyrażających syntezę ideową niskich wrażeń bezpośrednich, przechodziły stopniowo w fazy idei coraz wyższych, coraz subtelniejszych i coraz ściślej odpowiadających różniczkującej czy doskonalącej się naturze duchowej człowieka.

Opierając się na tej samej zasadzie, stwierdzić musimy nadto rzecz oczywistą, że pojęcia—rezultat pracy duchowej jednostek i pokoleń, rozwijały się szybciej wśród poszczególnych ludów, aniżeli ich języki, t. j. zasób odpowiednich temu rozwojowi środków językowych swojskich. Dowodem tego zjawiska jest choćby uderzające wszędzie przejmowanie nazw obcych, mających służyć do określania wyobrażeń i pojęć nowych, zapożyczanych z obczyzny, a przyswajanych sobie przez te ludy, potem—narody.

* * *

Okolicznością najdonioślejszą w badaniu, jakie tu mamy na celu, jest fakt równorzędnego istnienia w Europie łaciny — języka umarłego — obok rozwijających się języków nowożytnych: w danym wypadku — języka polskiego.

Łacina zawarła w sobie skarbnicę wyobrażeń i pojęć, skryształizowanych, a poniekąd — skamieniałych na pewnym szczeblu roz-

woju świata starożytnego. Stało się to już w chwili, kiedy zastęp ludów barbarzyńskich stawiał pierwsze zaledwie kroki na drodze bytu historycznego Europy. Dalszy byt ten miał się opierać z jednej strony na własnych siłach owych ludów, z drugiej zaś — na pożywcze spuścizny po świecie starożytnym. Częścią najistotniejszą tej pożywki był sam język—była łacina i zakłute w niej skarby intelektualne. Na skarbach tych miały się kształcić i rozwijać ludy młode: na razie biernie i nawpół świadomie, później z głębszem zrozumieniem rzeczy i ze wzrastającym zapalem. Owo — „później“, to doba nowożytna; owo — „na razie“, to wieki średnie, które nas tu obchodzą przedewszystkiem.

Wspomniana bierność i świadomość polowicza zaznaczały się w stosunku młodych ludów do spuścizny świata klasycznego, a więc i do łaciny w tem, że łacina miała dla ich intelektu — jak cylinder dla murzyna — znaczenie rzeczy bezkrytycznie, „wyższej“, że przeto ten, co ją posiadał, zdobywał przez to samo wyższość wśród własnego otoczenia. Z jednej strony tłumaczy się to zjawisko stałem prawem rozwoju, stwierdzającym poddawanie się wszelkich kultur niższych kulturom wyższemu; z drugiej zaś, za pomocą faktu, że sam Rzym, jeszcze za czasów swojej przezwagi fizycznej, wpoił namacalnie w barbarzyńców przekonanie o wyższości tego, co pochodziło z nad Tybru.

Łacina była przeto wyższą — i w rzeczywistości i w przedświadczeniu młodych ludów Europy, aniżeli ich swojskie języki i narzecza. Każdy z tych ludów, kształcąc się na łacinie, wpajał ją w siebie i przetrawiał po swojemu jej treść intelektualną w samym sobie. Powstała wreszcie na drodze rozwoju tych ludów, przyczem proces, o jakim mowa, olbrzymią odegrał rolę, nowożytna cywilizacja nasza.

Nim do tego przyszło, nim fazy wyższe wspomnianego procesu, powstające i krzyżujące się nawzajem wśród emulacji dziejowej ludów, zrodziły powszechnie idee nowożytne, — każdy lud po swojemu na łacinie się kształcił, każdy pojmował ją po swojemu i każdy wyrażał w niej — za pomocą symbolów językowych Rzymu — samego siebie.

Gdyby było inaczej, gdyby owe ludy wyrażały były intelektualne zasoby swoje wyłącznie w językach własnych, — pewne badania, jak zobaczymy, nie miałyby dziś klucza nader doniosłego w dążeniu do zrozumienia wielu faz rozwojowych, zaklętych we własnych językach tych ludów — odbiciu ich dusz.

Oto, języki te, rozwijając się z postępek wyobrażeń i pojęć ludów, kryły w każdej dobie pod formą starą, wytworzoną w stadyach dawnych faz rozwojowych, zawiązki wyobrażeń i pojęć późniejszych, powstających na drodze ewolucji psychicznej z pokrewnych pra-pojęć i pra-wyobrażeń swojskich.

„Odpowiedź“ była niegdyś obelgą, dziś jest — odpowiedzią.

Wkraczamy tu za zasłonę tajemniczego świata, w głąb skarbów, uwarstwionych w otchłannej głębinie rozwoju: od prawniku aż po dziś dzień — od czasów zawrotnie oddalonych aż do chwili obecnej, która, ślizgając się w życiu codziennem po górnej warstwie rozwoju, zdaje się nie przeczuwać nawet, co

pod nią spoczywa i co się kryje w łonie jej pramacierzy.

* Wiemy, co o tem napomknął Nietzsche w swej „Genealogii moralności”; wiemy, co powiedział Brückner w „Cywilizacji i języku”, oraz w pracy p. t. „Z dziejów języka”; wiemy wreszcie, co o semantologii pisali: Rozwadowski, Malinowski i in., a na tle ścisłej już historycznem—Adolf Pawiński w studium o „Odpowiedzi w dawnym prawie rycerskim”; wiemy wreszcie, do jakich wyników imponujących dochodzi lingwistyka porównawcza przez badanie części składowych i pochodzenia wyrazów. Za mało jednak, a może prawie nic nie wie nasz ogół o tem, jakie to skarby spostrzeżeń kryją się w prostym zestawieniu jednego i tegoż samego wyrazu łacińskiego z jego równoznacznikami polskimi, czerpanymi z różnych epok, po sobie następujących.

Próba taka, przeprowadzana dla przykładu na wyrazach: *usurpatio*, *usurpative*, zachęci nas może do dalszych...

Usurpatio — *usurpative* oznaczają dzisiaj uzurpację, przywłaszczenie, przyczem pierwszy z tych wyrazów (*usurpacia*) dotyczy najprzeważnie władzy i jest określeniem zwężonego pojęcia przywłaszczenia wogóle. Oba te wyrazy, i jeden i drugi, kryją w sobie dzisiaj pojęcie, etycznie ujemne. Tymczasem *usurpatio*, *usurpative* oznaczały jeszcze w wieku XV sam tylko stan posiadania, użytkowania z rzeczy posiadanej, bez względu na źródło posiadania — w użycie mieć, i kwita, a nawet oznaczały poprostu sam owoc takiego posiadania — korzyść, oczywiście w pierwszym rzędzie materialną (*usurpative* — korzystną rzeczą). Jest to zjawiskiem, godnem zaznaczenia, fakt, że uzurpacja właściwa oznacza i dziś jeszcze naogół pojęcie etycznie — bodaj odrobinę — wyższe, aniżeli przywłaszczenie zwykłe. Czyżby z powodu większej korzyści uzurpatora, niż przywłaszczydela?...

Choć o tem sami często nie wiemy, lub widzimy (w zasadzie! Dlaczego?) w pobudkach uzurpatorów dążności wyższe, to jednak rodów tych naszych poczuć stwierdza coś innego... Etyka nasza czi tu jeszcze bez wiedzy siłę materialną...

Rzecz oczywista, że odpowiednie w swoim czasie środki „pedagogiczne” różnych uzurpatorów nie pozostały tu także bez wpływu. Zaznaczyć trzeba nadto, przez prostą analogię, że tam wyraz *korzyść* oznaczać musiał wtedy (XV w.) coś *de facto* etycznie niższego, niż dzisiaj, czyli *vice versa*, coś — na tle etyki ówczesnej — doskonalszego, niż obecne pojęcia korzyści materialnej na tle etyki dzisiejszej. Ale idźmy dalej...

Meritum oznacza dziś, ogólnie już, zasługę w jej znaczeniu moralnem, zawierajacem ocenę danej działalności z punktu widzenia jej pożytku dla innych. Strona etyczno-społeczna takiego pożytku jest już dzisiaj istotą pojęcia t. zw. zasługi. Kto zaś położył tę zasługę i na jakiej drodze, są to dla nas względnie w zasadzie drugorzędne, lub nawet całkiem obojętne, gdy ideę zasługi rzeczywiście mamy

na myśli. Zasługa, położona przez człowieka (dostojnego), któremu ułatwiły ją szczęśliwsze warunki życia, bywa nawet poniekąd, przez prostą sprawiedliwość, oceniana surowiej, aniżeli t. zw. cicha zasługa. Prawda, że ta ostatnia rodzi uznanie mniej głośnie, ale częściej za to głębokie i szczere. Istnieje już tedy, bodaj w ideale, tendencja wyraźna do wieńczenia przedewszystkiem strony moralnej w każdej zasłudze, jakkolwiek różne zasługi posiadają stopień i zakres bardzo rozmaity swej użyteczności bezpośredniej. Prozaiczne atoli jest i tutaj podłoże, spoczywające u podstaw rodowodu tego ideału. Wycieczka w głąb samego podłoża zawiodła by nas może w krainę fantazji. Poprzestaniemy tedy na jednym z ogniw historycznych samej jego genealogii. *Meritum* w wieku XV oznacza — dostojność. Owa zaś dostojność była wówczas pojęciem — oczywiście — bardziej jeszcze materialistycznym, aniżeli dzisiaj. Jakże wiele mówi to proste zestawienie dwóch wyrazów: zasługi i dostojności. Do podobnych może spostrzeżeń ideowych doprowadziłaby nas próba zestawienia dawnego znaczenia wyrazu zasługa (*salarium*), przechowanego po dziś dzień w tym sensie w pojęciu ludu — z naszym rozumieniem tego wyrazu. O ideale! cześć ci za to, żeś powstał z krwawego trudu życia, myśli i czynu!

A teraz przykład trzeci: *Depauperatio* oznacza dziś zubożenie, t. j. obniżenie stopnia bogactwa (materialnego), zamożności lub dobrobytu. Jakkolwiek ideał chrześcijański powiada: *res sacra miser*, to jednak daleko nam jeszcze do tego, by w wyrazie „*depauperatio*” odczuwać szczerze pojęcie uświecenia. Jesteśmy raczej bliżsi bieguna przeciwnego, na którym — jeszcze w wieku XV — w wyrazie tym widziano proste potępienie! Wyraz „zubożenie” nie istniał wtedy; powstał on później, kiedy ubóstwo przestało się już równać średniowiecznemu pojęciu piekła...

Wyraz *habere*, mieć, tłumaczono w wieku XV przez *imāc*, który to wyraz przechował się po dziś dzień w znaczeniu chwytania. Istotnie, wszak każde *m i e n i e c z e g o s* (por. *имѣть*) było pierwotnie i być musiało nie czemś innem, jeno lupem w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Stwierdza to poniekąd sama historia, jakkolwiek nie sięga zbyt daleko wstecz. Ustrój społeczny, rozwijający się w ciągu dziejów, podzielił jedynie sposoby *imania*, czyli źródła mienia, na dwie kategorie: dozwolonych i niedozwolonych, „prawowitych” i „karygodnych”. Granice między obu temi kategoriami, modyfikowane na swój sposób w każdej epoce, ustanawiały zawsze: naprzód obyczaj (etyka), a później władza (prawo).

Culpa, wina, obejmująca dziś przedewszystkiem pojęcie moralne krzywdy, wyrządzonej komuś (moment altruistyczny), oznaczała w wieku XV winę w znaczeniu (egoistycznym) skutków, obciążających winnego pod postacią grzechu — w żywym naówczas rozumieniu religijnem, a hańby i sromoty w rozumieniu społecznem.

Równoznacznikiem polskim wyrazu *divisus*, w jego znaczeniu podziału, a raczej — obdzielenia kogoś czemś (np. syna majątkiem przez ojca), był w wieku XV *imiesłów dzielny* (dziś obdzielony). Stał się on, jak wiadomo, przymiotnikiem, określającym pewną czyn-

nią właściwość charakteru—wysokie już dzisiaj pojęcie moralne. Postęp, zaiste, zdumiewająco szybki, jak na kilkanaście pokoleń.

Evadere, dziś—uniknąć czegoś (np. straty materialnej lub moralnej), oznaczało w wieku XV, między innymi, jeszcze odbicie gwałtem (rzeczy przez kogoś pochwycanej)!

Excusare, dziś uniewinnienie siebie, lub kogoś, najprzeważniej w zakresie obciążenia moralnego, oznaczało: wymówić się prawem, czyli—wykręcić się z zadanej sobie winy (materialnej), jeśli nie prawem, to lewem.

Imiesłów od wyrazu *liberare* (uwalniać)—*liberans*, uwalniający, oznaczał w wieku XV zachodzącę. Dzisiejsze jeszcze znaczenie wyrazu „zachodzić” wystarcza, by zrozumieć, co się ongi na pojęcie wyrobienia komuś wolności składało przedewszystkiem: zająć (z drogi, z nagie w dom, lub wreszcie—kręte obejście racji przeciwnika).

Lis, chytry podstęp, byłby po odjęciu mu dzisiejszego, ujemnego pierwiastka moralnego, tylko pewnym kłopotliwym trudem; oznaczał też istotnie w wieku XV kłopot, a nawet wprost sam przedmiot owego kłopotu.

Maiestas znaczyło wielmożność, t. j. to tylko, co w dzisiejszym pojęciu majestatu, a nadewszystko — majestatyczności, tkwi jako wartość realna, konkretna.

Polskim równoznacznikiem średniowiecznym wyrazu *negligere* (dziś, zaniedbać coś), było—zamieszkać. Czyżby zestawienie dzisiejszego i ówczesnego znaczenia wyrazu „negligere” kojarzyć się miało z echem czasów prastarych, kiedy osadnik-pionier, odbiwszy się od gromady nomadów, przez samo zamieszkanie na miejscu stałym, zaniedbywał się („omieszkiwał”) jednocześnie w korzystaniu z tego dobra, jakim go dawna wspólnota karmiła?... Niewątpliwie.

Punire, karać, przyczem rdzeń pojęcia istoty tego karania, kary, stanowi dziś idea poprawy winnego, a przynajmniej — ochrony ogółu od jego działalności szkodliwej, oznaczało dawniej wyłącznie zemstę. *Punire* znaczy w wieku XV—mścić, mszczeni być, *impunitus*, niepomszczony a *vindicare*, oznaczające dziś zemstę, znaczyło nietylko mścić, ale także imieć, a nawet zyskować. Kara była zemstą a zemsta (najprzeważniej krwawa)—oczywistą drogą do zysku.

Vis oznaczała nietylko (siłę) moc, ale przedewszystkiem gwałt.

Przykładów, jak powyższe, możnaby przytoczyć wiele. Nie o to jednak, nie o wyczerpanie obfitego materiału nam chodzi. Oto wniosek ogólny narzuca się sam przez się pod postacią formuły następującej: jeżeli pojęcie zła etycznego oznaczmy przez *a*, dobra (takiegoż) przez *b*, zła materialnego przez *c*, takiegoż dobra przez *d*, przeszłość przez *e*, a przyszłość *f*,

$$\begin{aligned} a: b &= e: f \\ c: d &= f: e \end{aligned}$$

*

* *

Grupę przykładów i spostrzeżeń, będącą w powinowactwie ideowym z tem wogóle, o czem mówiliśmy powyżej, stanowią mate-

ryały językowe, dotyczące rozwoju instytucji rodziny i pokrewieństwa. Nie są to materiały zbyt obfite ani bogate. Zaslugują jednak na to, aby tu kilka słów o nich powiedzieć, pomimo, że naogół dotyczą sfery nader już zamglonej i przeto dla wniosków ściślejszych niepodatnej. Poprzestaniemy tedy na kilku ciekawych zestawieniach:

Conditio, dziś stan, położenie, warunek, niegdyś cześć i stadło (małżeńskie).—*Femella*, dziś samiczka, niegdyś dziewczka, córka.—*Filiastra*, dziś synowica, niegdyś także i synowa.—*Homo*, człowiek (mężczyzna i kobieta), dawniej wyłącznie mąż w znaczeniu mężczyzny.—*Nepos*, wnuk lub wnuczka, dawniej nadto siostrzeniec i synowica.—*Privignus*, pasierb, dawniej pasierb i wnuk.—*Socer*, teść, dawniej teść i ojczym.

Echa, może jeszcze materialne, łączą się tu, jak widzimy, z pra-patryarchalnymi. Do pierwszych zaliczylibyśmy (w powyższem oświeceniu) wyrazy: filiastra, nepos, privignus; do drugich: conditio, femella, homo, socer. Materiał jest jednak zbyt skąpy, aby móżdż szczegółowo i głębiej rzecz, naszkicowaną tutaj, rozwinąć.

Celem publikacji przyczynków niniejszych, celem niepoślednim, była także chęć zwrócenia uwagi na najdawniejsze a obfite zabytki języka polskiego, zawarte w rotach przysiąg, a nawet w samym tekście t. zw. zapisek sądowych. Siegają one końca XIV wieku, gdy tymczasem najstarsze zabytki literackie datują naogół z doby o wiele późniejszej. Wydawnictwa słowników korzystają w zasadzie tylko z druków, a do archiwów docierają wyjątkowo. Tymczasem, materiał, o którym mowa, ogłoszony zaledwie w drobnej części (publikacje Helela, Pawińskiego, Liskego, Balzera i niewielu innych), wzrósłby znakomicie i w niejednym kierunku naukę wzbogacił, gdyby podjęto wypisy i publikację wyrazów polskich średniowiecznych, zaopatrzonych często w ich ówczesne równoznaczniki łacińskie, a zawartych w Księgach Sądowych. Przechowują one skarby rzeczzone w jednym wielotomowym egzemplarzu rękopiśmiennym, który przez pożary (jak Księgi sandomierskie), a nadewszystko przez butwienie papieru uległ już w znacznej części i wciąż ulegać będzie stopniowej, niepowetowanej zagładzie. Obok rejestrowania więdnących skarbów folklorystycznych, skarby zawarte w „Księgach sądowych”, koniecznie uwzględnione i uratowane być powinny dla nauki.

J. K. Kochanowski.

SPRAWA POKOJOWA.

Zbliża się moment zjazdu delegatów państw regularnych na konferencję pokojową do Hagi holenderskiej. Sprawą tą żywo się prasa wszechświatowa zajmuje. Zajmującą jest ona i dla nas. I nam przeto zapoznać się z nią wypada.

Kwestya, mająca się w czerwcu r. b.

w Hadze omawiać, jest nowa w „poważnej, szanującej siebie“ publicystyce. Do r. 1899 traktowała ją ona od niechcienia, z przekąsem, to jako rzecz dziecinna, to jako rzecz osłą (*ânerie*).

Mylili się, kwestya ta bowiem faktycznie ani do nowych, ani do na lekceważenie zasługujących nie należy.

Nie będąc w dziejach kościelnych biegłym, nie umiem oznaczyć momentu, w którym do śpiewanych po kościołach modlitw wprowadzone zostały suplikacje, a w nich prośba błagalna: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie!“ Znaczenie, duch błagania tego świadczą, że odnosi się ono do czasów bardzo dawnych, do chrześcijańskich jednak, ale pierwotnych, katakumbowych, kiedy chrystyanizm nie mieczem jeszcze, ale męczeństwem wojował, wykazując w tym wojowania rodzaju siłę pociągającą, która na ludy, na narody, na tłumy oddziaływała.

Wejrzymy w znaczenie błagania poszczególne: pierwsze z nich i trzecie odnoszą się do plag żywiołowych, drugie do ustroju społecznego, czwarte do polityki. Dwa pierwsze, wedle pojęć owoczesnych, były wyłącznie dziełem dopustu bożego, którego odwrócenie w modlitwie jeno możliwość posiadało, kiedy znów głodowi do pewnego, wysokiego stopnia zapobiegał spokój, zależny od woli ludzkiej, wojna zaś całkowicie była dziełem tej ostatniej i spowodowała wszystkie naraz przed nią wymienione plagi, syntetyzowała dopust boży w stopniu najwyższym, działający w ludzkości uspołecznionej i na organizacje państwowe podzielonej, za pośrednictwem władz, na czele zorganizowanych gromad „przez Boga“ postawionych.

W punkcie tym doktryna chrześcijańska dyskusji podlega, lecz nie osłabia wysokiego, syntetycznego znaczenia wojny wobec plag, ludzkość trapiących, bez względu na różnice rasowe, na narody, na formy rządowe, na wyznania religijne. Wszystkie na kuli ziemskiej ucywilizowane i nieucywilizowane, tak i inaczej ukształtowane uspołecznienia do bytowania, dla rozwoju—pokoju potrzebują.

Chrystyanizm potrzebę tę wyraził—zaznaczył ją—nadał jej siłę, uznaną (wedle doktryny) przez „ustanowioną przez Boga władzę“.

Nie przyszło to atoli samo z siebie i nie nastąpiło bezpośrednio. Poprzedziło je uznanie przez władzę samego chrześcijaństwa, uznanie, czyniące je zależnym od niej, co sprawę pokoju na jej dowolne rozporządzenie oddając, w cień usunęło, a raczej w niwecz obróciło to wszystko, co się dla niej w czasach pogańskich robiło. A w czasach owych robiło się dla niej niemało, tak na pokrewnej z nią drodze ekonomicznej, jak wprost na politycznej. Na pierwszej służyło ku temu domaganie się sprawiedliwości społecznej pod postacią bądź wychodźstwa takich, jak wyprośzenie Żydów z niewoli egipskiej, bądź buntów takich, jak Helotów w Sparcie, zataratów plebejuszów z patrycyatem w Rzymie, wojen domowych, jaką była wojna niewolników pod wodzą Spartakusa, i wogóle w dziejach nie zaznaczonych mocowań się klas społeczeństwa upośledzonych z klasami panującymi. Na drodze politycznej starożytność ceniła pokój jako dobrodziejstwo, symbolizując je

gałązką oliwną i dla utrzymania onego zaprowadzając w Grecji instytucję sądów amfiktyońskich. W Rzymie Romulus wybudował świątynię pokoju, pod wezwaniem Janusa, mającą stać otworem w czasie trwania wojny, dla błagania o pokój. Dobrodziejstwo to, niestety, Rzymianom mało służyło. Świątynia Janusa dwa razy tylko zamkniętą być mogła. Ciągłość wojen otwartą ją ustawicznie trzymała, aż, po dniach potęgi i sławy, Rzym o upadek przyprowadziła.

Sprawa pokoju dostała się w udziale chrystyanizmowi, którego pokój grunt i istotę stanowił, który pokój wnosił, pokojem żył, pokojem oddychał, na drodze pokojowej, męczeństwem brukowanej, a ku braterstwu wszechludzkiemu w synostwie bożem wiodącej, całą swoją działalność prowadził, ściągając na nią uginające się pod brzemieniem roz wielmożnionego zepsucia, żadne w zamian za bagno ziemskie czystej jasności niebieskiej, tłumy. Za Nerona mniej się jeszcze na drogę tę cisnęło, za Dyoklecjana widzieć się w nich nawet dawały niezbędne dla władz hufce orężne. Legion tebański, dla brzemiennej pokojem pod skrzydłami Ojca Niebieskiego „dobrej nowiny“, w całości się na śmierć męczeńską wydał.

Męczeństwo legionu tebańskiego było faktem, dla władców rzymskich znaczenia pełnym. Dyoklecjan, uchodzący za jednego z roztropniejszych imperatorów, nie poznał się na tem. Nie poznało się siedmiu, co po abdykacji jego (305) rok jeden władzę dzierżyli. Pierwszy, który wartość chrystyanizmu na tle zamętu, jaki w czasie onym panował, poznał i ocenił, był Konstantyn. Gdy na poskromienie okrutnika i prześladowcy chrześcian, Maxensa, ciągnął, ukazał się mu w powietrzu krzyż ognisty w otoczeniu napisu: „*In hoc signo vinces*“. Krzyż za godło na sztandarze państwowym, nazwanym przezeń *labarum*, wziął, Maxensa zwyciężył, chrześcijaństwo przyjął i, objawwszy władzę imperatorską, poddanych swoich pogan i chrześcian, w taki zażywał sposób, że pierwsi go po śmierci półbogiem zamianowali, drudzy w poczet świętych zaliczyli. Dwoiste to uwielbienie pośmiertne świadczy o wysokiej mądrości stanu, jaką go natura obdarzyła.

Chrystyanizm zawdzięcza mu tryumf nad poganizmem. Kościołowi nadał on fundamenty i powagę — powagę, która wieki trwała, lecz, z państwem sprzężona, losy jego co do znaczenia podzieliła.

Skutkiem sprzężenia tego, do kościoła przylgnęła wojowniczość państwowa, skutkiem czego chrystyanizm opuścił ów anioł pokoju, co nad kolebką jego czuwał i w katakumbach go piastował. Pobieżny na ciąg dziejów od Konstantyna W. do dni naszych rzut oka wykazuje ciąg nieprzerwanych wojen, wojen i wojen, przedsięwziętych i dokonywanych nie dla dobra ludzkości, pragnącej, jak w czasach przedchrystusowych, pokoju—pokoju.

Pragnienie to w wiekach średnich pozostało w znaczeniu formalności przy obrządkach kościelnych, pod postacią patyny, dawanej wiernym do całowania ze słowami: „*Pax tecum*“ i śpiewania suplikacji. Pokój częściowy nakazywał Karol Wielki. Pokój, zwany *trêve de Dieu*, zaprowadził Ludwik św., król francuski, celem powściągnięcia wojen usta-

wiecznych, które między sobą toczyli panowie feudalni, a które pod klątwą kościelną zakazane były dwa razy do roku: od adwentu do Trzech Króli i od niedzieli zapustnej do Zielonych Świątek. Uważały się to mogło za pamiątanie o pokoju, ale nie za pokój. Wojna tak się była wkorzeniła i w taki heroizm się ustroiła, że wobec niej, ilustrowanej świetnością czynów, wielkością wodzów, wolą bożą i przesadnością ludzką, wszystko inne, wchodzące do kategorii dzieł człowieczych, zmalowało. Poprzedzały ją i po niej następowały modły, zapowiadały znaki nadprzyrodzone, ukazujące się oczom i uderzające słuchy. Przesadność miała ją za plagę na równi z powietrzem, lecz różną od niej tem, że zaraza budziła wstręt brzydota odcłanną, wojna wywoływała zachwyt szczytnością piękną.

Dostało się to chrystyanizmowi w spadku po pogaństwie, i w wiekach średnich, skutkiem kształtowania się kosztem jedne drugich państw i państewek, rozwijało się wzmagając (crescendo), uświęcając się nie czem innym, tylko powodzeniem. Raubritterstwo kwitło. Wojny np. toczone przez Karola Zuchwałego, celem rozszerzenia granic Burgundyi, które prostymi były rozbojami, uchodziły za heroiczne, o ile je sukcesy wieńczyły. Zaborczość bezwzględna cechowała politykę średniowieczną państwowotwórczą. W Europie jedno tylko państwo stanęło, wzrosło i spotężniało na fundamencie kojarzenia narodowego, celem obrony wzajemnej. Zapłaciła też Polska grubo i wciąż, w epoce „nieistnienia” swego, płaci za nieregularne swoje narodziny i za rozrost nieregularny, pomimo, że w nowym dziejach ludzkości wieku przejawiać się zaczęły głosy za pokojem i protesty przeciwko wojnie.

Zaznaczyło się to w epoce wojny trzydziestoletniej, następstwami swojemi pamiętnej.

We Francyi, ku chlubie kościoła katolickiego, słyszeć się dał głos kapłana, ks. *de Saint-Pierre*, autora dzieła p. t. „Projekt pokoju wieczystego”, doradzający rozstrzygnięcie nieporozumień międzypaństwowych za pomocą sądów rozjemczych. W Anglii zawiązała się sekta kwakrów, wojnę przeklinająca. W Niemczech myśliciel głęboki, filozof-moralista, Emanuel Kant, zajmujący dotychczas w zakresie filozoficznym stanowisko przewodnie, odezwał się w sprawie pokoju w pracy p. t. „Szkic filozoficzny o pokoju wieczystym”. Wszystko to miało znaczenie opamiętywania się umysłowego, przebijającego się w przejawach początkowych na polu krytyki w odniesieniu do datującego z czasów pogańskich, a nie obalonego przez konstantynowskie *la-barum*—ubóstwiania wojny.

Wojny nie ustawały — nie ustawała krytyka, która, ze sfer filozofii abstrakcyjnej przechodząc w sfery realne stosunków życiowych w zakresach społecznym i politycznym, wytwarzała powoli demokratyzm. Znalazł on wyraz swój właściwy a dobitny w hasle wielkiej rewolucyi francuskiej: „wolność, równość, braterstwo” — w hasle, przesiąkniętem pokojem tych chrześcian pierwotnych, którzy się po katakumbach modlili, tłumy około siebie ścigali, wreszcie się pod opiekę Konstantynowi Wielkiemu oddali, w wojnach mu służyli i kościół wojujący wytworzyli.

Jak się to stać mogło?

Stało się to w ten sposób, że Konstantyn W. chrystyanizm wyzyskał na rzecz cesarstwa. Mógł on uczynić to rozmyślnie lub nierozmyślnie. Ludzi największych, najhartowniejszych nastroje łamiał. Nie mogąc się szeroko nad szczegółowym sprawą pokoju rozwojem rozwodzić, zaznaczę jeno, że wytoczenie jej na skalę rozleglejszą nastąpiło po upadku Napoleona I, czyli po zakończeniu epoki ultra-wojennej.

Pamiętne „święte przymierze” nie dla czego innego, jeno dla utrzymania pokoju i zniesienia do szczytu z oblicza ziemi demokracji się zawiązało. Nie uzyskało jednak ani wiary, ani zaufania. Niezależnie od niego zawiązywały się stowarzyszenia pokojowe: pierwsze w Nowym Yorku (r. 1815), drugie w Londynie (r. 1816). Stowarzyszenia podobne zawiązywały się tu i owdzie, przeważnie atoli w stylu dyplomatycznym, mającym na względzie pokój międzypaństwowy. Trwało to mniej więcej do wybuchów rewolucyjnych, w duchu demokratycznym poczynanych, ale już mocno socjalizmem podszytych, w r. 1848.

Pierwsza poważna manifestacja pokojowa odbyła się, pod mianem „kongresu”, na pierwszej wystawie powszechnej w Londynie r. 1851. Pokojowość w niej zaznaczyła się o tyle, o ile pokój stanowi warunek rozwoju przemysłowego, który się mocno na wystawie onej zaznaczył i dał przykład, wywołujący spółzawodnictwo powszechne na drodze przemysłowej i wystawowej.

Droga ta, która pokój zapewnić miała, zawiodła—zawiodła najzupełniej. Konkurencja międzyfabryczna, wytwarzając nadprodukcję, wywołała spółubieganie się międzypaństwowe, a raczej międzymocarstwowe o rynki zbytu zaeuropejskie, ponieważ europejskie za szczytę są i niepewne. Spółubieganie się to grozi wojną wszystkich państw przeciwko temu jednemu, któremu by się udało dla przemysłu swego jakiś rynek bajeczny zapewnić. Wobec perspektywy takich pracy pokojowej następstw wynikła konieczność zbrojenia się, wywołującego na tej drodze spółzawodnictwo i sprowadzającego w rezultacie uszczęśliwiającej ludzkości obecnie „pokój zbrojny”. Rolę w tem główną grają interesy międzymocarstwowe.

Podszywają je interesy ludnościowe — ludowe—pracownicze, stojące z gołemi rękoma wobec pracodawczych, w których łonie stanowisko najważniejsze zajmują władze państwowe, ze względu na konieczność w spółzawodniczeniu w pogotowiu zbrojnym. Świadczą o tem rozmiary fabryk Kruppa, stanowiących ze wszystkimi innemi fabrykami w Państwie Niemieckiem zespół, związany spólnym interesem wytwórczym, któremu życie i ruch nadają kapitały.

Na polu przemysłowym praca odbywa się podwójnie: z dołu — za pomocą rąk, nóg, grzbietów i głów, z góry—za pomocą głów i pieniędzy.

Rozwój przemysłu poskromiona i w pewnych względach zadowolona demokracja, co w roku 1848 zrewolucjonizowała wszystkie w Europie, z wyjątkiem Rosyi i Turcyi, państwa, uwięził socjalizmem. Musiało to nastąpić z powodów, których wyjaśnianie na tem miejscu byłoby zbyt długie; nie zbyt długie

jest atoli wskazanie na fakt rozwielenienia się socjalizmu, niepokojącego prawno-polityczną państwową organizację w Europie i wymagającego utrzymania pogotowia orężnego. Pogotowie to, zwracające się na zewnątrz przeciwko spółzawodnikom i na wewnątrz przeciwko ludom własnym, rujnujące państwa i ludy, zagrażające wznowieniem ostrzejszego niż w r. 1848 stanu rewolucyjnego i potęgujące w opinii publicznej pragnienie zapewnienia pokoju, zniewoliły sfery rządzące do myślenia o zapobieżeniu gotującym się zaburzeniom, mogącym spowodować smutne dla sfer onych następstwa. Potrzebę myślenia wzmogło poczucie się państw zaborami wzrosłych do rozlicznych grzeszków administracyjnych tak względem swoich, jak szczególnie względem przyswojonych sobie w sposób niekoniecznie poprawny ludności, do bytowania niezależnego się poczuwających. Zadanie zażegnania burz przewidywanych przedstawiało trudności niemałe. Rozwiązania onego oczekiwano od mocarstwa, które, zrobiwszy się pierwszorzędem z dziś na jutro, osiągnęło tryumfy zdumiewające, dzięki posiadaniu na czele swym sprawcy takowych, męża stanu „genialnego“, w osobie Bismarcka. Oczekiwano, azali niebie nie ukáže się mu znak jaki z odpowiednim, pod adresem interesowanych, w otoku napisem: *In hoc signo...* Oczekiwano... nadaremnie. Zbrojenie się bezgraniczne i rozdmuchiwanie boreaszowskie patryotyzmu niemieckiego, zaprawione szczuciem go na Polaków, były następstwami tryumfów, nie zaś dziełem Bismarcka. Bismarck wynalazł trójpzymierze pod inwokacją pokojową, nie zapewniającą pokoju, a tylko w opinii publicznej wszechświatowej potęgującą pragnienia pokojowe — pokojowość, mnożącą kongresy, domagania się, łączącą sprawę pokoju ze sprawą socjalistyczną, ba... z polską nawet (Liga pokoju i wolności: *Si vis pacem, para libertatem et justitiam*). Oczekiwano znaku dalej, oczekiwano.

Znak ukazał się, nie Bismarckowi jednak, ale cesarzowi rosyjskiemu, Aleksandrowi III-u. Świadczy o tem dowodnie obwołanie go pokojotwórcą, skutkiem dokonania przezeń dwóch dzieł w duchu pokojowym wielkich, rozpatrując się w nich z punktu zasadniczości samowładnej, a to: powstrzymanie się od zapewnijającej Rosji tryumf wojny z Austrią i zaprzyjaźnienie Rosji samodzielną i prawowiernej z Francją republikańską i ateistyczną.

Zdaniem jednych, historia się nie powtarza, zdaniem drugich — powtarza się. W razie tym, w odniesieniu do sprawy pokoju, ściśle od momentu pojawienia się chrystyanizmu z religią spojonej, ci drudzy mają słusność.

W sprawie tej — prześladowania nerońskie i dyokleciańskie, uniemożliwione duchem czasu, który spowodował złagodzenie obyczajów, zastąpiono prześladowaniem szpilkowem prasy półurzędowej, poważnej i „siebie szanującej“, w krajach zaś, cenzurą uszczęśliwionych, dołączając się do szpilkowania publicystycznego karcenia rządowe więzieniem, „zsyłką“ — za dowiedzione wyznawanie rojeń pokojowych, ciężkimi robotami, szubienicą nawet — za zaprawianie tych rojeń demokratyzmem

rewolucyjnym Wiktorów Hugo, Bosaków Hauke, Garibaldich.

W takim to pokojowym nastroju, odpowiadającym sobie w osiemnastowiekowym czasie odstępie, powtórzyło się na imperatorów jednakie natchnienia zesłanie. Jednemu ukazało ono krzyż w powietrzu, drugiemu nakazało uściśnąć dłoń prezydenta rzeczypospolitej, z pogardą odrzucając (ręcz w sobie wysoce znamienne) pokornie ku niemu wyciągniętą dłoń Wilhelma II.

Fakt ten, świadczący, jako *spiritus fiat ubi vult*, ten sprawił cud, że ci, co wyznawców pokoju szyderstwem obrzucali i osłami nazywali, sami wyznawcami się stali, wyznawcy zaś z obozów Hugonów, Bosaków, Garibaldich — czołem przed pokojotwórstwem imperatorskiem uderzyli.

Z pewnością atoli sprawa pokojowa innyby wzięła obrót, gdyby nią Aleksander III pokierował.

Drogą spadkobierstwa, w kodeksach nie zanotowanego, kierownictwo rzeczowe dostało się Wilhelmowi II, łączącemu w temperamencie swoim ruchliwość Zygmunta Luksemburczyka z bezwzględnością fanatyczną Leopolda I, a kroczącego drogą polityczną, wytkniętą przez Bismarcka — drogą wyzyskiwania wszystkiego na rzecz wielkości Niemiec i wszechwładztwa tronu cesarskiego, i łamania wszystkiego, co by na niej zawadzać mogło, zaczynając od Polaków.

Wprowadzenie sprawy pokojowej na arenę polityczną należało do Rosji. Nadanie jej tonu — akcentowanie jej wzięły na siebie Niemcy. Nie wyszedł jeszcze z pamięci ludzkiej rodzaj agitacji wobec „niebezpieczeństwa żółtego“, zagrażającego pokojowi i cywilizacji, wywołanej i prowadzonej przez Wilhelma II. W lat parę po śmierci Aleksandra III sprawa pokojowa nabrała rozgłosu, mówiono i pisano o konferencji, krążyły wieści o spółzawodnictwie między gabinetami petersburskim a berlińskim, tyczącem się pierwszeństwa w ogłoszeniu tej „dobrej nowiny“ ludzkości.

Ogłoszenie uczyniła Rosya. Konferencya r. 1899 odbyła się w Hadze.

Na co się ona właściwie zebrała?

Nie na co innego, jeno na ustanowione z góry regulaminowo zdogmatyzowanie międzypaństwowego „stanu posiadania“, bez względu na pochodzenie onego.

Usunięcie względu na „stan posiadania“ usuwało z obrad konferencyjnych nie tylko wojny domowe, naruszające przecie pokój, ale i przyczyny takowych — dzieła, charakteryzujące nadużywanie przemocy w tym np. rodzaju, co przez rząd dopuszczzone w Turcyi rzezie Ormian, co rządowe w Prusach znęcanie się nad dziećmi polskimi, co praktykowane w interesie władz jątżenia jednych przeciwko drugim klas społecznym lub odmian narodowościowych i t. p. Wszystko to, a z tem odnosząca się bezpośrednio do nieodzownej w utrzymywaniu pokoju etyki politycznej agitacya, dokonywana na drodze bądź telegraficznej (jak pamiętny telegram do Krügera), bądź turystycznej (odwiedziny w Tangierze), bądź na majestatycznie osłanianej drodze knowań dyplomatycznych — wszystko to, co wykazać mogło w źródłach główne wojen przyczyny, do udziału

tu w konferencji nie dopuszczone, uczyniło z konferencji przyczynek poboczny konwencji genewskiej, uzupełniający do pewnego stopnia ulgi na teatrach operacji wojennych, dla których instytucja ta humanitarna została założona. Konferencja przeto z r. 1899 pod przewodnictwem Rosji, na której funkcję suflerską pełniły Prusy, była nie pokojowa, lecz pokojowością, w duchu o niezliczonych mowach, mówkach, toastach, kazaniach, *a priori i a posteriori* definiowanym przez Wilhelma II.

Prusom zawdzięcza ludzkość „dobrodrojeństwo” pokoju zbrojnego, dla którego postęp naukowy rozwinał się wspaniale w kierunku wynalazków wybuchowych, oddających pod postacią brauningów i bomb kieszonkowych ogromne socjalizmowi rewolucyjnemu, terrorizmowi i bandytyzmowi usługi. Wilhelmowi zaś II osobiście przypada zaszczyt wskazania drogi „podbojów pokojowych” na Dalekim Wschodzie, na którym się sam pierwszy w Kiao-Czao zainstalował pokojowo.

Przypuszczać się też godzi, że z jego natchnienia, które mu podyktowało telegram „od admirała oceanu Atlantyckiego do admirała oceanu Spokojnego”, zrodził się — celem wyzyskania pokoju, wzorem wyzyskanego ongi chrystyanizmu — pomysł przerznięcia na wylot drogą żelazną, aż do wybrzeży wymienionego wyżej oceanu, Syberii.

Droga żelazna, bardzo drogo i bardzo lichy zbudowana, dała asumpt do dwóch wojen: jednej — pod wodzą niemiecką — sprzymierzonych europejsko-amerykańsko-azyatyckich mocarstw przeciwko Chinom; drugiej — japońsko-rosyjskiej, której następstw niewesołych Rosya nierychło odczuwać przestanie.

Rezultaty przeto pierwszej w Hadze konferencji „pokojowej” nie upoważniają do wróżenia optymistycznie o jej wydaniu drugim, mającem być poprawnem. Poprawność onego nie przebija się zgoła w programie, rozłożonym przez p. Martensa po dworach i gabinetach, ani też w dotyczących się rozbrojenia propozycjach angielsko-amerykańskich, ani w ogłoszonych świeżo na konferencji w Nowym Yorku propozycjach p. Carnegie, domagających się osadzenia w Hadze stałego sądu rozjemczego i założenia ligi międzypaństwowej, zobowiązanej i w siłę dostateczną zaopatrzonej do nakazywania, w potrzebie zmuszania do rozstrzygania nieporozumień nie inaczej, tylko na drodze sądowej.

Program martensowski, uzupełniający poszczególnie jego program poprzedni, jest przewarżaniem wody; propozycje zaś, licząc się wyłącznie z interesami państwowymi, wymagają, dla otrzymania w tym nawet zakresie rezultatów pomyślnych, wszczęcia, jeżeli nie we władców państwowych, to w doradców ich — rzeczy niby łatwej a niełatwej: dobrej woli. Czyżby Abdul-Hamid dobrowolnie usunął z czynu wojenne tego rodzaju, co wyrzwanie chrześcijan?... Czyżby król pruski a cesarz niemiecki, na wyrok sądu rozjemczego, cofnął germanizowanie Polaków?

Cóż wobec tego za znaczenie mieć może sprawa pokojowa?

Znaczenie jej jest takie same, jak sprawy chrystyanizmu, który, dzięki wyzyskiwaniom, jakim uległ, zmieniany, przeżywany, modyfi-

kowany, usuwany, lecz, dzięki tkwiącemu w nim pierwiastkowi etycznemu, zawsze w charakterze regulatora ludzkości potrzebny, zajmować w niej stanowiska wytycznego nie przestaje. Stanowisko to jest przeniknięte patynowem *pax vobiscum*, zlanem w jedno z zakazem: „Nie czyni drugiemu, czego nie chcesz, aby tobie czyniono”, będącym odwiecznym i nieustającym człowieczeństwem uspołecznionego pożądaniem.

Stąd wynika, że sprawa pokojowa jest ważna, bardzo ważna, pierwszorzędna, i dlatego — błędnie, nieodpowiednio prowadzona w interesie wyłącznie państwowym, nadziewanym różnorodnymi „stanami posiadania”, dzierzganymi gwałtem, podstępem, przeniewierstwem i tym podobnymi wytworami ozdobnictwa dyplomatycznego.

Raz atoli w polityce światowej na porządek dzienny wprowadzona, nie zejdzie już z niego. Skrzywiona, wyprostuje się tym razem częściowo, cokolwiek następnie, dalej znów trochę, aż na właściwą trafiwszy miarę, wywlecze na jaw osłaniane dotychczas dyskretnie przyczyny zatargów wojennych i międzynarodowej, zarówno politycznej i społecznej, słuszności rzetelnie zadośćczyni.

Nas bardziej niż kogo innego sprawa ta obchodzić powinna, i dlatego, służąc pod sztandarem „*Si vis pacem, para libertatem et iusticiam*” od r. 1871 do 1898 i wysłużywszy pod nim szewrony, ponieważ rozpoznałem ją bliżej nieco niż inni, umyśliłem podzielić się nią w głównych zarysach ze współrodakami, powołanymi obecnie do działalności na polu publicznym w każdym z trzech działów ojczyzny naszej. Sprawy publiczne tej co ta miary znać należy, chcąc ojczyźnie z pożytkiem służyć.

Zygmunt Milkowski.

TADEUSZ KONCZYŃSKI.

WYSPA SMUTKU.

(Opowieść fantastyczna.)

Działo się w siedzibie uczonych, w Atenach, w wieku dwudziestym piątym po Chrystusie, a w wieku trzecim nowej epoki, po zaprowadzeniu stałej wymiany myśli między mieszkańcami ziemi i planety Marsa.

(Dokończenie.)

Ellis wyciągnął błagalnie ręce do cudnego zjawiska i zapłakał.

Starzec rzekł:

— Jest w swojej pustelni i mówić będzie z tobą. Przybyszul! dopóki będziesz stał w tem kole, będziesz widział jej obraz, wywołany na tej płycie zwierciadlanej, a ona obraz twój. Ja odchodzę. Oby boleść zamieniła się tobie w radość.

Donald został sam w sali marmurowej z kulą świetlną nad czołem, która oblewała go białym światłem, i z widmem Heleny przed

sobą na błyszczącej tafli. Gorycz wezbrała w jego duszy. Z drugiego końca świata przyjechał za nią, aby ją widzieć, a zamiast niej widzi tylko jej złudne odbicie.

— Heleno! — rzekł po chwili: — dlaczego tak mnie karzesz? dlaczego, zamiast z tobą, rozmawiam z twoim cieniem? Czyż mam wywieźć stąd taką pamięć o tobie?

Barwna postać pochyliła głowę i takie wzruszenie przebiło się w jej ruchu, że żal mu było słów wyrzeczonych.

— Donaldzie, nie mogę postępować wbrew przepisom. Nie mogę ukazać się nikomu ze śmiertelnych w swojej prawdziwej postaci. Wolno mi jeno opuścić to Państwo Smutnych i wrócić do żywych. Lecz jestem na to za słaba i za bardzo nieszczęśliwa.

— A ja chcę cię bronić!

— Przed kim, Donaldzie? przed kim? przed moją własną tęsknotą i moją własną niemocą?

— Choćby nawet tak było, to tak.

— O jakże mało znasz serce ludzkie. Zamknięty wśród ksiąg, miałeś mię przy sobie jak kwiat, który wydaje liście i kwitnie, lecz który zarazem milczy i nieruchomy jest. I tak byłoby zawsze — ale kwiat nie ma serca i nie ma drogi przed sobą, a człowiek ma wieczną tęsknotę i tysiąc dróg przed sobą. Zaczem rozeszły się nasze ścieżki.

— Heleno, boję się o ciebie. Trwoga przygnała mnie tutaj. Ja wiem, że na Wyspie Smutku ludzie wpadają w obłęd z rozpaczy, lub zamieniają się w ruiny za życia. Ja nie chcę takiego losu dla ciebie. Heleno, usłuchaj mnie, usłuchaj mnie! Schroń się dokądkolwiek chcesz — nie będę nawet się pytał o przyczynę, tylko stąd uchodź, póki twój umysł jest jeszcze jasny!

Wyciągnął do niej ręce, jak gdyby chciał się jej dotknąć.

Cień cofnął się w głąb tafli i popatrzał na niego zażawionemi oczami z takim wyrzutem, że Ellis zamilkł.

— Żle mówisz, Donaldzie. Powtarzasz to, co ludzie mówią po świecie. Ale tu jest inaczej. Za kim tu zamknęły się bramy, ten upodabnia się do roślin i prowadzi ciche życie, jak one. Czyż życie nie jest snem, który trzeba prześnić? Ale na ziemi wśród was niema na to czasu. Wasze dusze blakają się wśród przestworzy w ciągłej gorączce poszukiwania za nowymi prawdami — w ciągłym pożądaniu wydarcia nieznanych tajemnic przyrodzie — wśród ciągłych zawodów lub upojeń. Życie więcej życiem cudzem, niż własnem. Ach, to męczy, Donaldzie, tak bardzo męczy. Ja tu mam domek u stóp wzgórza, na którym rozpięty jest śliczny sad. Srebrny strumień szmerze cicho popod oknami mojej białej pustelni. Gałązki winogrodu oplatają drzwi mojego domku i ciekawie zaglądają do jego wnętrza przez kryształowe szyby... wschód słońca będzie mnie tu witał, a ogród żegnał... a niebieska lampa księżycy będzie snuła razem ze mną przed nieukojoną tęsknotą... Poświęciłam moje życie roślinom i niebu... Tak będzie dla mnie najlepiej.

— A mnie — rzekł Ellis wzburzony, wąż każde słowo jak sztylet — zostawiłaś park w Atenach z altaną, rzeźbą i z wyrytem na niej

imieniem „Godawa“... — Mówiąc to, utopił w niej oczy szydercze i pełne goryczy.

Helena zadrżała. Ręką zasłoniła oczy i czoło i jeszcze bardziej przechyliła głowę.

— I cóż na to mi powiesz? — zapytał, zakładając ręce na piersiach.

— Tak, Donaldzie — rozległ się szept po chwili, — wiesz wszystko.

— Padłaś ofiarą nikczemnika.

— On jest tak nieszczęśliwy, jak i ja. On także usunął się od życia.

— Ach, najłatwiej. Lecz kiedy to się stało? gdzie go poznałaś? kto cię pchnął na tę straszliwą drogę?

— Ty sam, Donaldzie — często jeździłeś ze mną do Pałacu Marsa.

— W sprawach nauki. Poszukiwałem analogii między historią ludzkości na ziemi a historią ludzkości na Marsie. Przecież uczeni Marsa nie mogli mi stamtąd przesłać ksiąg swoich — mogłem tylko z nimi rozmawiać.

— A ja poznałam jednego z nich i pokochałam. To rzecz taka prosta.

— W jaki sposób? jak?

— Tak, jak ty teraz rozmawiasz ze mną i widzisz mnie, tak on widział mnie, a ja jego w świetlnych widmach.

— Prawda, prawda!

— On był podobnie zmęczony życiem, jak i ja. W nim żyła taka sama tęsknota przedziwna, jak i we mnie. On rozumiał mnie tak, jak tu nikt na ziemi nie potrafi i dlatego drogim stał mi się nad wyraz. Nie mówiłam ci o tem, bo takie uczucia są święte i krzywda im się dzieje, kiedy się o nich mówi. Lubiłam ciebie, a jednak byłeś mi obcy.

— Jaki ja szalony byłem, że ciebie brałem do Pałacu Marsa! jaki ja byłem szalony! — wołał Ellis, zapominając, gdzie jest i z kim rozmawia.

— I ty łudzisz się, Donaldzie, że byłoby inaczej niż jest... Czy nie czytałeś mi ustępów z poetów starożytnych, którzy opiewali tęsknotę, choć nie znajdowali dla niej wyrazu? Czyż nie unosiła się ich dusza w głębie astralne i nie lkała pod stropem gwiazd, nucąc pieśni o Nieznanem? Czyż nie było wśród starożytnych ludzi, którzy szli w pustelnię z dymnych miast i życie całe pędzili na rozmyślaniach i płaczu, choć dusza ich nie wiedziała, za czym lkała? A może duch ich lkał za duchem, który w przestworzach wszechświata szukał ich nieznanego? — O tak Donaldzie — to, co ja w sercu noszę, to to samo jest, tylko może ma inną nazwę, bo wiem, do kogo tęsknię. O tak Donaldzie, — po promieniach słonecznych wędruje nasza wspólna tęsknota i cieszy się z ciszy i samotności...

— Czy i teraz będziecie się widywali i rozmawiali ze sobą?

— Tak, Donaldzie. On zamieszkał na Marsie w takiej samej pustelni, jak ja — tak samo pokochał niewinność kwiatów jak ja — i będzie tak samo tęsknił do mnie, jak ja do niego. Rozmowy nasze będą jak rozmowy dwóch cichych, srebrnych gwiazd.

Ellis wybuchnął płaczem. Świadomość, że Helena jest stracona na zawsze dla niego, ścięła mu lodem krew w sercu. Przywiązanie, które miał do niej, teraz, kiedy miał ją na zawsze utracić, zamieniło się w rozpacz bezbrzeżną. Nie był już panem siebie.

— Heleno!—szeptał—przecież ja nie chcę być twoim tyranem. Przecież w naszej willi możesz żyć dalej. Ja uszanuję twoją miłość. Będę jak cień chodził koło ciebie. Tylko mnie nie opuszczaj—nie opuszczaj.

— Donaldzie—żał mi ciebie. Ale tak być nie może. Kim ośwładnie taka moc tęsknoty, jaka mną ośwładnęła, musi wyłącznie jej się poświęcić. Ty znajdziesz jeszcze inne szczęście w życiu. Wierz mi, każdy człowiek znaleźć je musi—albo realne tu, na ziemi, albo niechwytnie, jak promień w bezmiarach czasu i przestrzeni—jak moje, ale niemniej słodkie i drogie. Żegnaj, Donaldzie.

— Heleno!—jęknął—zaklinam cię, nie bądź tak okrutna. Wróć ze mną, bo tu czeka ciebie nieszczęście. Nie wiem jakie, ale czuję je i lękam się tego. Heleno, Heleno, zrób to dla siebie i dla mnie. Twoje życie będzie okropne. Ty się tylko ludzisz, że tu znajdziesz szczęście. Bądź litościwa dla mnie i dla siebie samej.

Wyciągnął do niej ręce zrozpaczony i oczami błagał ją, jak dziecko błaga matkę.

Helena spojrzała na niego jeszcze z większym smutkiem, niż pierwszej, i miłym głosem powiedziała:

— Donaldzie, nie zapomnę ci tego nigdy, żeś był dobrym dla mnie, ale nie mogę być ci posłuszną. Nie mogę. Wiem, że cierpisz, i dlatego tak smutna jestem. Żegnaj, żegnaj. To już moje ostatnie słowo. Nie męcz mnie i siebie dłużej. Żegnaj, Donaldzie, na zawsze.

— Heleno!—krzyknął i nieprzytomny prawie rzucił się w jej stronę — Heleno! stój! stój!

Chciał ją uchwycić za rękę i upaść jej do nóg, lecz w tej samej chwili kula świetlna zgasła, widmo zbladło i zniknęło z ruchem przerażenia, a on uderzył głową o zwierciadlaną taflę i padł bez czucia.

.
.

Kiedy powstał i zebrał myśli, noc zalegała salę. Był sam. Milczenie zimne otaczało go dokoła. W głowie czuł ból dotkliwy, przemijający.

Jakieś światelko słabe majaczyło w dali. Dotykając rękoma chłodnej ściany marmurowej, szedł przed siebie. Po chwili poznał, że idzie wązkim korytarzem, który nakoniec wyprowadził go nad wybrzeże oceanu. Światło, za którym szedł, płynęło od latarni morskiej, świecącej w porcie. Przed kilku godzinami przybył tutaj — za kilka godzin będzie wracał tą samą drogą. To wydawało mu się rzeczą niepodobną, jak niepodobnym jest, aby po dniu nastąpił dzień, a nie noc.

Spokojne morze, wysrebrzone światłem latarni, kołysało się u jego nóg i lizało wyniosły granit, na którym stał. Szept fal mówił do niego tajemniczym językiem ukojenia.

— A może te fale szepczą do tych gwiazd, które drgają w blaskach na niebie? — pomyślał.

— Może wszyscy są szczęśliwi i wszystko w świecie rozumie się wzajemnie, oprócz mnie jednego?

— Szukać szczęścia?

— Wolę pojąć, co to jeszcze szczęście i dowiedzieć się o niem od tych, którzy je już mają... to będzie rzecz łatwiejsza...

Zszedł niżej ku chwiejącej się głębi i, dotknąwszy się jej dłonią, rzekł:

— Pokój tym, którzy go szukają. Żegnaj, Heleno.

Ciało jego plusnęło o mieniącą się powierzchnię morza i zniknęło w jego objęciach.

Fale rozmawiały dalej z milionami gwiazd, iskrzących się w górze...

JAN AUGUST KISIELEWSKI.

O „BALLADYNIE.”

I.

...Wychodzi na świat Balladyna z ariostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wewnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie; z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi szczipione...

...jeżeli to wszystko *) ma wewnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód nie słyszane wyrazy a oczom pokazuje nigdy we śnie nie widziane istoty; jeżeli instynkt poetyczny był lepszy od rozsądku, który nieraz tę lub ową rzecz potępił, to... Balladyna, wbrew rozwadze i historii, zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości.

...Uśmiechnij się teraz, Irydyonie...

...ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę... z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie...

...prowadzę lekkie, tęczowe i ariostyczne obłoki...

Te zdania, wyjęte z przedmowy, w której nieśmiertelny Juliusz poświęca swe dzieło „na pamiątkę” autorowi Irydyona—niechaj nam będą podstawą rozważań Balladyny.

Miarą wartości dzieła sztuki jest poetycki zamiar jego twórcy. Tem doskonalsze jest dzieło, im doskonalej powiodło się autorowi urzeczywistnić twórczą ideę pomysłu.

Oczywiście, nic łatwiejszego, wydałoby się, jak posłuchać tego, co mówi poeta o swej Balladynie i jej koncepcji, aby rozważyć, w jakim stopniu spełniły się jego życzenia i zamiary.

Atoli fantazyjna, kapryśna fantastyczność naszego Szekspira wyrządza swoją „przedmową” rozsądkowi dramaturgicznej estetyki psotkę chłopięco wdzięczną, lecz i chłopięcym sposobem wikłającą w kłopoty.

Trudno sobie wyobrazić wyższą rozkosz estetyczną, jak zgodzenie się z opinią Słowackiego; niema wątplenia, iż żaden pisarz nie

*) co jest treścią tego dzieła.

oprze się twierdzeniu Juliusza, iż „instykt poetyczny jest lepszy od rozsądku”; że każdy chętnie zgodzi się na miano: obranego z jakiegolwiek rozsądku, byle móżdżek pochłubić się choćby isierką instyktu poetyckiego. Nikomu też nie przyjdzie ochota uczestniczenia w owym „tłumie ludzkim”, tłumiącym się w imię „porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie”, w tłumie, z którego „uraga się” dziecie poety Beniowskiego—„Balladyna” z ariostycznym uśmiechem na twarzy...

Ponad to—nikt nie będzie miał skłonności do „przerażenia się” owym „tysiącem anachronizmów” w Balladynie, nietylko dlatego, że Szekspir i Słowacki, mimo mnóstwa anachronizmów swoich tragedii historycznych pozostaną synonimami najwspanialszej, najświetniejszej, najpoetyczniejszej angielskiej i polskiej sztuki dramatycznej—lecz nadewszystko ze strachu, aby nie wpaść w błoto, w które w „epilogu” Balladyny popchnął Juliuszowy Wawel owego uczonka, co to fałszywie mieni Balladynę córą kraju Amazonek. Już też raczej zgodziłby się ów „nikt” wyzłazić reszteczkę swego ducha od przebiccia piórem onego Wawela i wystawienia się na publiczne oględziny w trunie, gdyby ośmielił się podnieść lekkomyślny rokosz przeciw dowodnemu dowodzeniu onego narodu dziejopisa, co z historycznych szczytów patrząc, ród jej prowadzi z kraju Obotrytów, którzy mięsa nie jedzą... lecz... usłyszeć z własnych ust Juliuszowych: Jesteś śpiącym w grobie historykiem! na to nawet ów „nikt” nie odważy się wystawić!

A teraz dopiero—Mathias Gallae Gallus Mathiae Galli Mathias!

„Balladyna zostanie królową polską”.

Wieszczu, Królu, Monarcho—strzel w łeb... a nie zostanie! Na to nie ma zgody! Żadną miarą! Nie pozwalam! Protestuję! *Veto!*

...a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości...

Mistrzu naszych mistrzów! Poeto naszych poetów! Harfo salamińska! Tyaro polskiego dramatu! Apokalipso naszej duszy!—nie mogę! Ten piorun, co w Balladynę trząsł, — błysnął i zgasł! Bij w pysk, a nie mogę: nie mi tu mgieł dziejów przeszłości nie roztworzyć! Tępy jestem, śpiący jestem, historyk jestem, w grobie jestem pochowany w błocie uragań tego łyszego kpa Wawela—niechże już tak będzie, ale nie mogę, i nie!!

Nigdy w żadnym podaniu, w żadnej baśni, bajce, legendzie, gadce, ludowej opowieści, w żadnej fantazyjnej kronice — Balladyna ani jej podobna mość po koronę Polski nie sięgnęła; nigdy to nie stanie się, aby tak, jak w tej tragedii wystawiona Balladyna stała się zmysłowym znakiem lechickości, istotą duszy przedhistorycznej polskości, prastarym rapso-dem o tchnieniu wionącym ze spominków piastowskich.

Mogło być stać się to raz jedyny w dziele poetyckim, w tej tragedii w pięciu aktach p. t. Balladyna, gdyby natchnienie Juliuszowe istotnie tego było pragnęło.

Wówczas, swoją wewnętrzną siłą Balladyna

nakazałaby czytelnikowi i widzowi uznać jej królewską koronę—w książce i teatrze.

Wówczas stałaby się Balladyna kapryśnem poety „*tel est mon bon plaisir!*”, z nicości wywołaną „z Polski dawnej fantastyczną legendą”.

Upředzeni przedmową, nadaremno szukamy w książce i teatrze owej aspirantki do korony królowej Polski, królującej nad mgłami dziejów przedstworzenia; po przecztaniu, po wysłuchaniu w teatrze, wracamy raz jeszcze do przedmowy i ze zdumieniem odkrywamy, iż nic się w niej nie zmieniło. Mamy wrażenie, iż Juliusz nie czytał Balladyny, przed napisaniem dedykacji Zygmuntowi, albo też nie czytał tej dedykacji po napisaniu Balladyny...

Tak chyba być musiało lub też zdanie owo wypisał ariostycznie uśmiechnięty twórca, na uragowisko z owych Wawelów, narodu dziejopisów.

A oto ostatnie wiersze *epilogu*:

— Cóż powiadasz na piorun? — zapytuje swego niepewna Publiczność.

— Sądzę o piorunie — wywija się Wawel,— że kiedy burza bije, trzeba bić we dzwony; że gałązka laurowa lepsza od korony, bo w laur piorun nie bije, ani głowie nie szkodzi.

— Czy jesteś tego pewny? — podchwytuje zaniepokojona Publiczność.

— Ten, co w laurach chodzi, autor ni-niejszej sztuki—zasłania się „bezstronny” świadek-dziejopis— słusznie wam opowie, że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie—piorun weń nie uderzył...

Niechby tylko ów piorun zechciał uderzyć w laur Juliuszowy — dostałby on prętem konduktora!

Nie dziw, iż urażona pani Publiczność szpetnie przytnie Wawelowi:

— Pochlebiasz, mój łysy, i królom i potom! Idź precz za kulisy!

I te są ostatnie słowa epilogu Balladyny.

Nie mam ochoty być za kulisy przez Publiczność wyświeconym łyskiem, nie z czułości na jej prześwietną zdanie, lecz z przecztaniem, iż wśród niej ukrył się sam autor i uraga moim intencjom ciekawskiego dociekania powodów owego osadzenia Balladyny na stolicy Lachów.

Nie chcę więc pochlebiać polskim królom, iż z łona Balladyny wiodą swój rodzaj, ani poecie, iż mu się powiodła owa... mistyczna mistyfikacja.

Natomiast z miłą chęcią oddam się rozważeniu piękności dzieła dramatycznego, które poecie w pośpiechu podobało się nazwać „tragedią”, gdy ono jest fantastyczną legendą, ludową opowieścią, przepięknie utkaną z lekkich, tęczyowych i ariostycznych obłoków miłosnych marzeń i miłosnych żalów w Grabcu rozkochaney Goplany—rozważeniu poetyckich właściwości „Balladyny”, tego doskonałego naszego pierwowzoru rodzaju dramatycznego, który współczesna dramaturgia określa mianem baśni dramatycznej.

Z TYGODNIA.

W Izbie Państwowej odbyło się pierwsze posiedzenie tajne, poświęcone uchwaleniu kontyngensu rekrutów na rok bieżący. W imieniu Koła Polskiego przemawiał poseł Konie, który po krytyce używania armji do walki z ruchem wyzwoleniczym, stwierdził, że państwo tak olbrzymie jak Rosya musi mieć silną armję, że polacy, walcząc z rządem, nie chcą jednak, by losy ich w tem państwie były zależne od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych i dlatego głosować będą za kontyngensem rekrutów. Rząd uzyskał dla swego przedłożenia większość, wywołaną między innymi rozłaniem wśród stronnictwa „trudowików”, większość, o której rozstrzygało stanowisko obu Kół Polskich. Z wydaniem sądu o tym bardzo doniosłym i z pewnością na niemniej poważnych motywach opartym fakcie należy się wstrzymać do czasu, gdy przed społeczeństwem odsłonięte będą wszystkie okoliczności, które uchwałę Koła towarzyszyły.

Ostatnie telegramy donoszą, że prezes Izby Państwowej, Gołowin, podał się do dymisji. Przyczyną jest zajście wywołane na posiedzeniu tajnem przez posła kaukaskiego Zurabowa, którzy w mowie swojej miał wyrazić się obelżywie o armji. Podczas zarządzanej przerwy zażądano od Gołowina, aby na zasadzie art. 38-go Zurabowa z Izby usunął. Po zbądaniu gruntu okazało się, że za wydaleniem głosować będą tylko kadeci i prawica, przeciw zaś cały blok lewicy; Koło Polskie, które rozstrzygało sprawę, postanowiło wstrzymać się od głosowania. Wobec tego prezes postanowił wydalić Zurabowa władzą własną, a potem zażądać od Izby votum ufności. Tak się też stało, ale w chwili, kiedy Izba rzeczzone votum ufności wyrażała, nie było w sali całego bloku lewicy i członków Koła Polskiego. Chociaż więc ufność została uchwalona, Gołowin nie uznał głosowania za posiadające wartość bezwzględna i zamierza się usunąć. Tak więc jednego i tego samego dnia Koło Polskie było dwa razy czynnikiem rozstrzygającym w Izbie. Pod wrażeniem tego faktu posłowie rozjechali się na ferye świąteczne.

Tak zwane „święto robotnicze” pierwszego maja zaznaczyło się w Warszawie wstrzymaniem ruchu tramwajów, dorożek, zamknięciem szczelnem wszystkich sklepów. Ludzi na ulicach było niewiele, wieczorem nieco więcej, za to urozmaicały życie przeciągające nieustannie patrole konne i piesze; skonsynowano też dużo wojska po wszystkich rogach ulic, po placach przed licznymi gmachami rządowymi i t. d. Przemykający się między tą masą wojska przechodnie oglądali się niespokojnie za siebie, oczekując czegoś nadzwyczajnego, co się nie stało; ten sam wyraz zaniepokojenia widniał na twarzach ludzi, tworzących liczne grupy gapiów przed domami. Ktoby dnia tego był w Warszawie, a nie znał jej poprzednio, byłby przekonany, że miasto jest na wskroś socjalistyczne. Tymcza-

sem, jak zwykle w tych wypadkach bywa, przyczyną zamykania sklepów był paniczny strach przed zaburzeniami i przed represjami ze strony stronnictw socjalistycznych. One to, wraz z władzami, święciły dnia pierwszego maja uroczystość gwałtu. Jeżeli o to chodziło socjalistom naszym, aby święto pierwszego maja stało się u nas symbolem gwałtu, przygnębienia i strachu, to udało im się to w zupełności. Jeżeli chcieli zohydzić wśród szerokich sfer ludzi, wytrąconych ze zwykłego trybu życia, święto majowe, to cel swój osiągnęli również. Udało im się, jak uda się każdemu w Polsce apel do cnót narodowych, próżniactwa i gapiostwa.

Stara Europa obchodziła święto majowe spokojnie. Mniej więcej wszędzie odbywały się pochody i zebrania robotnicze, prawie nigdzie jednak nie świętowano, a nigdzie zupełnie nie uważano za objaw święta zamierzania ruchu miejskiego. Tu i owdzie aresztowano głośniejszych agitatorów, wymyślano również na rządy. Te zwykłe objawy urozmaicone zostały w Rzymie interpelacją z powodu zakazanego gościnnego występu Maksyma Gorkija. Znakomity powieściopisarz, który swoje bohaterstwo niby kabotyn obwozi po obu półkulach, a skończy zapewne w jakimś panopticum, miał przemawiać na wielkiem zebraniu ludowem pierwszego maja w Rzymie. Zebrania zakazano. W odpowiedzi na interpelację w parlamencie prezes ministrów zaznaczył, że okazanooby znakomite-
mu pisarzowi więcej szacunku, gdyby nie zniewalano go do przemawiania na zebraniu, które mogło wywołać zaburzenia. Szkoda, że szacunku tego dla siebie niema sam Gorkij. Naogół biorąc, święto pierwszego maja traci w Europie na znaczeniu tyle, ile w Warszawie chcą je sztucznie powiększyć.

Biskup kujawsko kaliski i arcybiskup warszawski ogłosili listy pasterskie w sprawie Macierzy. Obydwa listy zalecają w zasadzie wiernym, aby zapisywali się do kół Macierzy, przyczem jednak J. E. ks. Popiel stwierdza, że zarzuty czynione ze stanowiska katolickiego Macierzy oparte są „na wypadkach sporadycznych”, zaś J. E. ks. Zdzitowiecki wyraża przypuszczenie, że „Koła Macierzy mogą osłabiać i odbierać wiarę katolicką i wyniszczać ducha narodowego” i na ten wypadek zaleca zwalczanie działalności takich Kół. Przypuszczenie to, na razie nie oparte na niczem, tem więcej jest szkodliwe. Wierni, którym list został odczytany, mogą nie zrozumieć trybu warunkowego, wziąć przypuszczenie faktu za fakt, który się już stał, i wyciągnąć zalecone przez list pasterski konsekwencye bojkotu. W tem leży jedno niebezpieczeństwo; drugie znajdziemy w zapowiedzi zakładania przez duchowieństwo osobnych czytelni i bibliotek, złożonych z pism, których wykaz mieści się w samym liście pasterskim. Wykaz obejmuje prawie wyłącznie pisma, redagowane i wydawane przez duchowieństwo; nie mamy tu takich, które w niczem nie zaznaczyły się nigdy wrogo przeciw religii, w których współpracownikami są księża, że wymienimy tylko *Naród*.

W zestawieniu z pierwszą częścią listu pasterskiego J. E. kujawsko-kaliskiej spis ten można nazwać conajmniej dziwnym.—W całej sprawie chodzi oczywiście o to, czy Macierz będzie instytucją wyznaniową, katolicką, czy nie. Gdyby tak się stało, byłoby to sprzeczne z jej założeniem ogólnonarodowym, a więc obejmującym i tolerującym wszystkie wyznania obywateli tego kraju. Ponieważ znaczna, olbrzymia większość jego mieszkańców wyznaje religię katolicką, więc piętno katolickie z natury rzeczy nosić musi i nosić będzie działalność większości kół Macierzy, zwłaszcza, jeżeli duchowieństwo będzie w nich uczestniczyło gorliwie. Ale od tego praktycznego katolicyzmu do nadania instytucji oświatowej piętna wyłącznie wyznaniowego—bardzo daleko. Gdyby zaś kiedykolwiek krok ten został zrobiony, uważalibyśmy to za wręcz szkodliwe dla dalszego rozwoju wielkiej instytucji narodowej, jaką jest i ma być Macierz Polska w Królestwie.

Zatarg pomiędzy rządem francuskim a socyalistami z powodu kwestyi należenia urzędników państwowych do syndykatów zawodowych, z prawem do strejku, zakończył się zupełnym rozłamem: pisma socyalistyczne zapowiadają śmiertelną walkę gabinetowi Clémenceau. Wychodząc ze stanowiska, że służba państwowa zapewnia urzędnikom korzyści, jakich nie może dać żadne przedsiębiorstwo prywatne, zważywszy dalej, że urzędnicy potrzebni są do zapewnienia wszystkim gałęziom państwa spełniania wszystkich ich zadań, że przeto nie mogą korzystać z prawa bezrobocia, prezes ministrów oświadczył publicznie, że na syndykaty urzędników nie pozwoli, a najgorliwszym agitatorom polecił udzielić dymisji. Gabinet Clémenceau przekonał się na sobie samym, że o ile łatwo jest stworzyć większość do szkodliwej i bezpłodnej wojny domowej, do walki z Kościołem, o tyle trudno jest większość utrzymać, jeżeli się nie spełnia dziwacznych żądań zbyt ufnych w swe siły i potęgę sprzymierzeńców ze skrajnej lewicy.

U W A G I.

Dzwonek sygnałowy, pociśnięty przez „kadeków” w Petersburgu, odzywa się już w Warszawie na łamach *Prawdy*. W redakcyjnym artykule wstępnym pismo to przeprowadza tezę, że wszelkie nasze zabiegi o autonomię, pozostaną „arkuszem zapisanego papieru”, dopóki Rosya nie zbuduje i nie utwali swej konstytucji, kwestya bowiem polska nie może być roztrzygnięta odrębnie, bez związku z ogólnym ustrojem państwa. Stąd wniosek, który sobie czytelnik sam ma dośpiewać: Koło Polskie niepotrzebnie się wyrwało ze swym wnioskiem autonomicznym, należało poczekać dopóki „kadeeci” nie dostaną się do władzy i nie utwala konstytucji rosyjskiej. Myśl przejrzysta i jasna, bieg jej—nader oryginalny i obliczony na smak naszej opinii publicznej. Mianowicie, po-

ważne ustępstwa na rzecz Polaków mniej są niebezpieczne dla Rosyi niż dla Prus, a te ostatnie, za pomocą szachowania kredytu rosyjskiego, nie dopuszczają do nich, dopóki Duma nie użyczy rządowi swej zgody na pożyczki i nie umożliwi mu pokrywania niedoborów państwowych w inny sposób, niż na drodze zabiegów dyplomatycznych i uległości swym wierzycielom. Ergo... przez ugruntowanie konstytucji trzeba wyzwolić państwo z pod wpływów pruskich i przełamać zakłętę koło, w którym się obraca kwestya polska.

Bardzo ładny syllogizm, tylko żadna z jego przesłanek nie trzyma się na nogach. Dlaczego to rząd prawdziwie konstytucyjny ma być uniezależniany od pożyczek zagranicznych? czy może swymi planami reformy agrarnej zwiększyć, jak za dotknięciem różdżki czardziejskiej, wydajność kraju?—Skoro zaś na pokrycie 180-milionowego deficytu budżetowego konieczna będzie pożyczka zagraniczna (nic do tego nie zapowiada, żeby większość Dumy miała jej odmówić), to kwestya, od kogo pożyczka ta ma być zaciągnięta, od Niemiec czy od Anglii z Francją, jest wyłącznie kwestyą polityki zagranicznej państwa; a gdyby nawet z czasem, kiedyś, ster tej polityki miał znaleźć się w jej rękach, dlaczego rząd prawdziwie konstytucyjny ma się koniecznie wyzwolić z pod wpływów niemieckich? Wszak wtedy reakcyjne usposobienie Prus nie będzie już dla niego niebezpieczne!

Czy *Prawda* nie wie o tem, że Prusy są równie przeciwne „utrwaleniu prawdziwej konstytucji” w Rosyi, jak i autonomii Królestwa? Droga więc przez nią wskazana napotyka akurat na te same szkopy zewnętrzne. My sądzimy przeciwnie, że autonomia Królestwa jest nie tylko częścią składową, ale nieodzowną utrwalenia prawdziwej konstytucji w Rosyi, i że jeżeli na tym punkcie nie zostaną przełamane wpływy pruskie, to działać one będą w całej pełni i na tamtym.

Rozumiemy, że dla „kadeków” wniesienie w obecnej chwili projektu autonomicznego może być ze względów taktyczno-partyjnych nie na rękę, rozumiemy, że krok ten krytykuje *Słowo*, które chciałoby nie tylko zdobyć, ale domaganie się autonomii rozłożyć na raty, ale stanowisko *Prawdy* niczem wytłumaczyć się nie da, jak pociśnięciem sprężyny przez „kadeków”, lub, być może, odwrotnym prądem uprzedzającej sympatii bez drutu.

V A R I A.

Anglia i Rosya. Pismo angielskie *The Nation* zamieszcza w ostatnim zeszycie ciekawy artykuł, który podajemy w całości.

„Po liście prof. Martensa do *Times'a*, przepowiadającym rozwiązanie Dumy i usprawiedliwiającym zawczasu zamach stanu, ukazała się publikacya urzędowa, przeznaczona dla czytelników angielskich i w swoim rodzaju nie mniej znacząca.

Mamy przed sobą gruby tom, zbyt koźnie wydany w Petersburgu, dający w nieskalanej angielszczyźnie kompletne tłumaczenie finansowego sprawozdania Kokowcewa i staranną analizę jego budżetu na rok 1907. List i książka stanowią między innemi

miarę wpływu, jaki opinia Anglii mieć może na bieg wypadków w Rosji. Zmora nieustannego deficytu i konieczność stałego odwoływania się do zachodniego rynku pieniężnego są nieodłączne od kalkulacji rosyjskiego męża stanu. Dumie nie przyznano jeszcze praw do kieszeni państwowej. Może ona „przeglądać budżet”, ale może spodziewać się jego zmiany tylko w najskromniejszych granicach. Ale samo odrzucenie potrzeby kontroli publicznej w Rosji wyrobiło w biurokracji dziwną wrażliwość na opinię Zachodu. Nawet dzisiejsza Duma przymuszona do ostrożności i umiarkowania, nie usankcjonowała by pożyczki zagranicznej bez postawienia warunków, których by Stołypin dobrowolnie nie przyjął. Jeżeli on pragnie rozwiązać Dumę, albo obejść się bez jej sankcji dla pożyczki, musi się zawczasu upewnić co do zaufania finansistów zachodnich. Niemcy, będąc same w pogoni za obcą pożyczką na uciążliwych warunkach, nie są w stanie mu dopomóc. Clémenceau i Pichon wyrazili się w kategoriach form, że żadna pożyczka w przyszłości nie będzie uchwalona w Paryżu, dopóki nie zostanie formalnego przyzwolenia ze strony Dumy. Pozostała więc tylko Anglia, na której rząd rosyjski musi się oprzeć. Liberali, pragnący jednocześnie położyć koniec zgubnej walce dwóch mocarstw na ich punktach stycznych w Azji i położyć podwaliny sympatii pomiędzy dwoma narodami, muszą uznać dwa szeregi pobudek, które są prawie nie do pogodzenia. Zawarcie konwencji, normującej wspólne interesy obu mocarstw w Persyi, Afganistanie i Tybecie uwolniło by Indye od widma najazdu, uniemożliwiłoby walkę pograniczną, zapewniłoby swobodny rozwój budzącego się narodu perskiego, a co najważniejsza pozwoliło by nam zredukować nasze wojska w Indjach. Zobowiązanie do unikania przez mocarstwa współzawodnictwa jest zupełnie niezależne od charakteru rządu rosyjskiego. Porozumienie miejscowe, które wpłynęłoby na nasze stosunki tylko jako mocarstw azyatyckich, byłoby przyczynkiem do pokoju i nie powinno być uważane za zdradę naszych sympatii demokratycznych.

Trudność postępowania w tym wypadku polega na tem, że sprawy dwóch wielkich mocarstw nie mogą być trzymane jakby w dwóch osobnych przedziałkach. Zawarcie porozumienia w Azji oznacza co najmniej zaniechanie dawnej zazdrości i podejrzliwości. Jest to w istocie połową jego doniosłości. Oznacza ono także zmianę tonu w stosunku opinii publicznej obydwóch krajów, a zmiana ta odbiła się przedewszystkiem na City. To, cośmy zawarli z Francją, było też jedynie szeregiem porozumień lokalnych; ale w końcu staliśmy się prawie przyjaciółmi i sojusznikami. Chociażby dla podtrzymania porozumień, któreśmy ze sobą zawarli, zmuszeni jesteśmy do wspólnego działania wobec innych mocarstw. Obydwa rządy przez uroczystości publiczne i oficjalne wizyty zrobiły co mogły dla zaimanifestowania tego zbliżenia.

Gdyby Duma była szanowaną i pewną, nie było by wystarczającej przyczyny do ograniczania się na miejscowem porozumieniu Azyatyckiem. Ale niema

dnia, któryby nam nie przypominał, że jej przyszłość jest niepewna. Duma jest bezsilną, a nawet nie czuje się bezpieczną; pogromy są jeszcze możliwe i chociaż Stołypina nie można podejrzewać o dawanie zachęty do najgorszych ekscesów tortur i morderstw, jest on jednak zbyt bezsilnym, aby mógł im zapobiedz lub je ukarać. On się nie pogodzi z Dumą, nie podtrzyma go ani ona, ani kraj, i kiedy dwór, reakcyoniści i ich sprzymiennicy z pośród jego kolegów ministeryalnych będą gotowi do wystąpienia, jego autorytet osobisty będzie tylko marną tamą przeciwko zamachowi stanu.

Przeświadczenie, że Anglia pożyczylaby tylko konstytucyjnemu rządowi, jest jedynym hamulcem, który dziś powstrzymuje biurokrację. Ryzyko obecnej tendencji w kierunku zbliżenia leży w trudności zakreślenia granic, w których wszyscy pragnęlibyśmy je widzieć.

Ogłoszone już jest, że flota ma w maju złożyć wizytę w Kronsztadzie. Jeżeli program uroczystości ma być surowo ograniczony, wizyta może przejść prawie niepostrzeżenie. Ale jeżeli ma być jej nadany charakter demonstracji politycznej, podlega wszystkim zarzutom, które spowodowały odłożenie wizyty zeszłorocznej. Może się zdarzyć, że wypadnie jednocześnie z pogromem żydów, rewolucją miejscową albo ze zniesieniem samej Dumy. Wniosek, jaki by stąd wyprowadziły biurokracja rosyjska i finansowe koła angielskie byłby, że rząd liberalny patrzy na swój stosunek z Rosją jedynie z punktu widzenia interesów imperialnych, ukrywając na ostatnim planie swe sympatie demokratyczne. Wniosek ten byłby niesprawiedliwym, ale wizytą w obecnej chwili w Kronsztadzie doprowadziłibyśmy do niego. Wrażenie, żeśmy zawarli blizkie porozumienie z rządem rosyjskim, posunęłoby się aż do zapewnienia powodzenia pożyczce rosyjskiej w City. Rząd nasz nie może postawić swego veto względem pożyczki obcej, jak to może rząd francuski. Ale jest w stanie pogodzić swój obowiązek względem wolności Rosji z swoją lojalnością wobec sprawy powszechnego pokoju i rozbrojenia, twierdząc, że porozumienie w Azji jest umową miejscową i unikając na razie tych formalnych a wyrazistych uroczystości, które niewłaściwie nadałyby jej większe znaczenie“.

Konsumpcja alkoholu w Anglii. Anglia jest, jak wiadomo, krajem, konsumującym największą ilość alkoholu. Statystyka porównawcza lat 1891—1905 wykazuje jednak bardzo pocieszący objaw, mianowicie, że się ta konsumpcja stale zmniejsza. Ilość wina, wypijanego na głowę, spadła z 0,39 gallona (1 gallon = 4 kwartom) do 0,27 gall.; ilość piwa z 30,2 gal. na 27,7 gal.; ilość spirytusu — z 1,03 gal. do 0,91 gal. Nieznacznym podniesieniem się tych liczb, jakie niektóre lata wykazują (np. piwa do 31,8 gal. w r. 1898 etc.), nie można przypisywać wielkiego znaczenia.

Do tego „wytrzeźwienia“ Anglii niemało się przyczyniła gorliwie agitacja abstynencka, która tam w osobie Braci Templaryuszów święci największe tryumfy.

Prenumeratę przyjmują w Warszawie: księgarnie, kantor gaz. „Goniec Poranny i Wieczorny“ (Zgoda 5), kantor „Narodu“ (Szpitalna 1); we Lwowie: Agencja czasopism A. I. Kojata (pasaż Mikolasza 3); w Krakowie: p. Stefan Bernacki (Długa 5) oraz Agencja Hopcasa i Salomonowej; w Kijowie: Administracja „Dziennika Kijowskiego“ (ul. Proreznia 9); w Łodzi: kantor J. Sutorowskiego (Piotrkowska 8). Na Łódź ceny warszawskie.

Za redaktora WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI.

Wydawca GUSTAW SIMON.

Ogłoszenia.

8-io kl. Szkoła,

złożona przez mieszkańców
Ziemi Mazowieckiej
Warszawa, ul. Hoża Nr. 27.

Egzaminy wstępne rozpoczną się d. 3 Czerwca.
Wysokość wpisów: kl. przyg. rb. 100; I, II i III
rb. 120, IV i V rb. 130 rocznie. Program gimna-
zyum filologicznego bez języka greckiego.

WYDAW. GEBETHNERA i WOLFFA.

- KOSKOWSKI B. *Polityka gminna*.—Rozwój życia gminnego.—
Obszar terytorialny gminy wiejskiej.—Sprawy szkolne.—
Sprawy robotnicze.—Polityka gruntowa.—Kwestya mie-
szkaniowa.—Podatki.—Ochrona stanu średniego.—Komu-
nikacye.—Przedsiębiorstwa.—Stosunki zdrowotne.—Za-
kłady kredytowe.—Komisyje socyalne. 1.20
Niebezpieczeństwo niemieckie. —.20
KOSZUTSKI St. *Podręcznik ekonomii politycznej*. 1.20
RALFIGH T. *Elementarne zasady polityki*. Przetł. z ang. dr. J.
Polak. —.60
Sprawy szkolne i wychowawcze. Odczyty wygłoszone przez 11
prelegentów w Wydziale wychowawczym Warsz. Towar-
zystwa higienicznego. I. 1.—
STECKI JAN. *Zasady ogólne ekonomii społecznej*. Wyd. 2-gie,
przejrzone i poprawione. —.60
— *W sprawie autonomii Królestwa Polskiego*. —.30
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

WYDAW. GEBETHNERA i WOLFFA.

- DUBIECKI M. *Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas po-
wstania styczniowego 1863—1864*. Wyd. 2-gie, powię-
kszone z 3-ma ryc. 1.50
GAWALEWICZÓWNA GUSTAWA (Toporeczanka). *Listki*. Uryw-
ki korespondencji z przedmową Bol. Prusa. —.80
JESKE-CHOIŃSKI T. *Błyskawice*. Powieść historyczna z cza-
sów rewolucyi francuskiej. 1.50
KAMIŃSKI A. *Wiosenny poranek*. Z notatek lekarza waryatów.
Z rysunkami autora. 1.50
PAPÉE Fr. dr. *Studia i szkice z czasów Kazimierza Jagielloń-
czyka*. 2.40
STRUVE H. *Filozofia polska w ostatnim dziesięcioleciu (1894—
1904)*. Przetł. z niem. Kaz. Król. —.75
WYSPIAŃSKI St. *Skaika*. Dramat w 3 aktach. 1.—
ZABOJECKA MARYA. *Gromnice*. Powieść. 1.20
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Bolesława Schoen-Wolskiego

Z MIŁOŚCI DO SWOICH

z przedmową K. Laskowskiego

*** CENA Rub. 1. ***

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Rok XXXI istnienia.

Najtańsza i najobfitsza ilustracya narodowa

BIESIADA LITERACKA

POD REDAKCYĄ

Władysława Maleszewskiego
i Michała Synoradzkiego.

Wydawca—*Albin Józef Niemira*.

Obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej, chwilę
bieżącą wszechświatową, wiedzę gruntowną w formie po-
pularnej, politykę, wychowanie, słowem wszystko, co
stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. **Szczególniej
uwzględnia dzieje ojczyste.**

Z początkiem roku 1907 „Biesiada” drukuje: *Maryana
Gawalewicz* powieść „WIR”, na tle zametu społecznego; histo-
ryczną — *Wiktora Gomulickiego* „KUR PIEJE”, na tle
powstania listopadowego; społeczną — *Maryi Rodziewi-
czówny* „TAK ZWANI GLUPI” i „OBYWATEL”; opo-
wiadania historyczne: *Maryana Dubieckiego* „CIENIE PRZE-
SZŁOŚCI”, wspomnienia z r. 1863; *Aleksandra Kraushara*
„Z PAMIĘTNIKA”; *Kazimierza Bartoszewicza* „OSTATNIA
WOJEWODZINA WILEŃSKA”; *Michała Synoradzkiego*
„LITWA W DOBIE OSTATNIEGO POWSTANIA” i „SPRA-
WY UNICKIE NA LITWIE I RUSI”; felietony społeczne
Kazimierza Bartoszewicza, *Zdzisława Dębickiego*, *Wiktora
Gomulickiego*.

W dodatku „Wieczory Powieściowe” cykl powieści *Bolesławy
(J. I. Kraszewskiego)* z czasów kościuszkowskich i ruchu
narodowego z przed lat czterdziestu.

Wszystcy całorocznym prenumeratorem „Biesiady” otrzymają w ro-
ku 1907 **bezpłatnie premium-pamiątkę**: dzieło ilustrowane pod
tyt. „POLACY NA POLU CHWAŁY”, zawierające szereg opo-
wieści dziejowych z okresu porozbiorowego. Dzieło to będzie
niejako skarbcem narodowej ofiarności, zasługi i bohaterstwa.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Biesiada Literacka“ w Warszawie:	„Biesiada Literacka“ z „Wieczorami Powieściow.“ w Warszawie:
Rocznie rb. 5, kwartalnie rb. 1,25, z przesyłką pocztową;	Rocznie rb. 6,50, kwartal. rb. 1,63, z przesyłką pocztową;
Rocznie rb. 6, kwartalnie rb. 1,50.	Rocznie rb. 8, kwartalnie rb. 2.
Zagranicą: Rocz. rb. 8, Kwart. rb. 2.	Zagranicą: Rocz. rb. 10; półr. rb. 5.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Pl. Warecki 4.

Na żądanie, Adm. Biesiady wysyła numer okazowy bezpłatnie.

PRYWATNE POLSKIE

GIMNAZJUM 8-klasowe

FILOLOGICZNE

TADEUSZA SIERZPUTOWSKIEGO

w Warszawie, Żórawia 49. Telefon 82.46.

Metody i program nowoczesny. Słójd. Rysunki. Gimnastyka.
Historia sztuki. Literatura powszechna. Socjologia.

ZAPIS ROZPOCZĘTY.

Egzaminy w starszych klasach zaczynają się 15 maja.

Od wakacyi otwarte będą równoległe klasy wieczorne z tanim
wpisem (65 rubli rocznie).

Programy do nabycia w Kancelaryi po k. 15.

LECZNICA D-ra TARNAWSKIEGO w Kosowie w Ga-
licyi, st. kol. Zabłotów otwarta od 1 maja do koń-
ca październ. Klimat łagodny, leczenie wodą,
kąpiele słoneczne, gimnastyka, dyeta jarska i przy-
spasabianie do życia higienicznego.